

Oddr Snorrason, *Saga o Olafie Tryggvasonie*, tłum., oprac. i wstęp  
Anna Waśko, Kraków 2013, Księgarnia Akademicka, ss. 171

Po wydaniu tłumaczeń tzw. sag winlandzkich<sup>1</sup> krakowska uczona przygotowała polskojęzyczną edycję Sagi o Olafie Tryggvasonie, autorstwa islandzkiego mnicha Oddra Snorrasona. To cenna i ważna inicjatywa. Dzieło Oddra, mnicha z Thingeyrar, jest najstarszą zachowaną do naszych czasów próbą opisania życia króla Norwegii, osoby, która zajmuje poczesne i szczególne miejsce w średniowiecznej tradycji skandynawskiej.

Edycja zawiera dziesięciostronicowy wstęp (s. 7–17), właściwy tekst sagi (s. 19–159), bibliografię (s. 161–164) oraz indeks (s. 165–171). Wszystkie te elementy pozwalają czytelnikowi, nawet nieobytemu w meandrach staronordyckiej literatury, zorientować się w charakterze i specyfice dzieła. Saga autorstwa Oddra, co słusznie podkreśla Anna Waśko, wpisuje się w ówczesną tendencję do utrwalenia w literackiej formie pamięci o przeszłości, widoczną w całej Skandynawii XII i XIII w. W przypadku Islandii i Norwegii jedną z centralnych postaci historiograficznej tradycji był Olaf Tryggvason, król Norwegii w latach 995–1000. Jego status to efekt pamięci nie tylko o wojennych czy politycznych, ale przede wszystkim misyjnych dokonaniach. Mimo dużego stopnia „uduchowienia” postaci Olafa w staronordyckich przekazach, bliżej im do kontynentalnych *gestae* niż klasycznie hagiograficznych *vitae*. Mimo wyjątkowego statusu Olaf to nadal człowiek z krwi i kości, ujawniający swoje ambicje, folgujący swoim pragnieniom. W taki też sposób przedstawia go Oddr Snorrason.

Oddr, podobnie jak inni islandzcy autorzy epoki, bazował na wiedzy i pamięci uznanych autorytetów oraz dokonaniach poprzedników z Seamundem inn frodhi i Arim Thorgilssonem na czele. Widoczny u autora sagi schemat opowieści o Olafie Tryggvasonie (od dzieciństwa na Rusi do śmierci pod Svoldr) posłużył w całej rozciągłości Snorriemu Sturlusonowi i pozostałym autorom niewiele późniejszych kompendiów sag królewskich. Autorka edycji, idąc w ślad za

---

<sup>1</sup> *Saga o Grenlandczykach. Saga o Eryku Rudym*, tłum., oprac., wstęp A. Waśko, Kraków 2006.

poglądami Theodore Anderssona, zwraca też uwagę na niezbyt wygórowaną jakość kompozycyjną powieści Oddra. Generalnie, sąd ten nie wzbudza kontrowersji. Z drugiej strony motyw przybycia Olafa Tryggvasona do Vindlandu, który wieńczy jego ślub z Geirą, córką Burisleifa, świadczy o czymś innym. Styl kompozycji oraz zastosowane przez Oddra słownictwo plasują ten fragment w zasadzie wśród sag rycerskich. Król norweski oraz Geira niczym nie ustępują w swym opisie oraz zachowaniu bohaterom skandynawskich adaptacji kontynentalnych romansów. Autorka edycji jest zorientowana w poglądach badaczy na temat sagi, jak również tego fragmentu (s. 11–12). W większości przywołane zostały najważniejsze prace traktujące o średniowiecznej historiografii skandynawskiej, nie tylko o sadze Oddra. Bibliografia ta mogłaby być potraktowana jako niemal kompletna, gdyby uwzględnić w niej kilka brakujących prac<sup>2</sup>.

Pochwalić należy A. Waśko za jakość tłumaczenia. Udało się jej wiernie nie tylko oddać przekaz sagi Oddra, ale również sprawić, że lektura edycji nie nuży. Czytelnik otrzymuje tekst zaopatrzony w liczne przypisy, które przybliżają zarówno historyczny, jak i literacki kontekst, w którym spisywał swoją sagę Oddr Snorrason. Na szczególną uwagę zasługują objaśnienia dotyczące bohaterów opowieści, którzy przewijają się także przez inne staronordyckie narracje, takich jak Kjartan Olafsson czy też Hallfred Ottarsson. Kontekst ten uzupełniają nierzadkie odwołania do *Heimskringli* Snorriego Sturlusona. Szkoda, że tego typu odwołania nie objęły innych sag (nie tylko królewskich), w których pojawia się postać Olafa Tryggvasona. Dotyczy to szczególnie *en mesty*, zbierającej dostępny na Północy materiał na temat króla w jedno spore kompendium<sup>3</sup>.

Mnich z Thingeyrar jako pierwszy z islandzkich historiografów uwzględnił na większą skalę fragmenty poezji jako istotny element tworzonej przez siebie narracji. Łącznie saga zawiera 13 pełnych strof i 3 czterowierszowe półstrofy. Wszystkie przypisał konkretnym poetom. Znane są one zresztą z innych sag królewskich.

A. Waśko podjęła moim zdaniem słuszną decyzję o tłumaczeniu poezji skaldów tak, aby jak najwierniej oddać treść poszczególnych strof, nie siłąc się przy tym na ich parafrazowanie w imię oddania stylu kompozycji. Dzięki temu dostajemy dość wierne tłumaczenia, a drobne potknięcia nie zakłócają ogólnego wrażenia. Wykorzystane przez Oddra strofy w większości pochodzą z większych poematów uznanych twórców. Dotyczy to między innymi utworów: *Óláfsdrápa erfídrápa* Hallfreda Ottarssona, *Eiríksflokkur* Halldóra Ókristni

---

<sup>2</sup> C. Phelpstead, *Fantasy and History. The Limits of Plausibility in Oddr Snorrason's Óláfs saga Tryggvasonar*, „Saga-Book”, vol. 36, 2012, s. 27–42; P. P. Boulhosa, *Icelanders and the Kings of Norway. Medieval Sagas and Legal Texts*, Leiden 2005; T. Tulinius, *The Matter of the North. The Rise of Literary Fiction in Thirteenth-Century Iceland*, Odense 2002; T. Danielsson, *Sagorna om Norges kungar. Från Magnús góði till Magnús Erlingsson*, Hedemora 2002; C. Olmstead, *An Introduction to Oddr Snorrason's „Óláfs Saga Tryggvasonar”*, Berkeley 1998.

<sup>3</sup> Por. K. Heslop, *Assembling the Olaf-archive? Verses in Óláfs saga Tryggvasonar en mesta*, w: *The Fantastic in Old Norse/Icelandic Literature. Papers of the 13th International Saga Conference*, red. J. McKinnell, D. Ashurst, D. Kick, Durham 2006.

czy *Bersöglisvisur* Sigvata Þórðarsona. Tych informacji jednak w edycji A. Waśko nie znajdziemy. Dotyczy to także pierwszej cytowanej przez Oddra półstrofy, paszkwilu autorstwa Hjaltiego Skeggjasona, w którym ten oczernił Freję i Odyna<sup>4</sup>.

Brakuje także komentarza wydawcy do kolejnego fragmentu poezji cytowanego przez Oddra. W sadze jest on przypisany jarlowi Sigvaldiemu, tymczasem w istocie pochodzi z poematu *Bersöglisvisur* Sigvata Þórðarsona. Tym samym, oryginalny kontekst tego fragmentu był zgoła inny i czytelnikowi należy się moim zdaniem wyjaśnienie, że Oddr dokonał tu swoistej manipulacji, która zresztą rzuca na domniemane znaczenie strofy. Wbrew przekazowi sagi skald miał na myśli raczej Haralda Pięknowłosego, półlegendarnego jednoczyciela norweskich ziem, niż Haralda Sinozębego. Także interpretacja określenia Norwegii jako *haukey* (wyspa jastrzębi) nie jest jednoznaczna. Obok przyjętej przez Finnura Jónssona wykładni o trybucie z jastrzębi (przywołanej w edycji) pojawia się także inna, która wywodzi termin *haukey* od górzystych terenów Norwegii, które licznie zamieszkują jastrzębie<sup>5</sup>.

Brak też komentarza edytorki do strofy przypisywanej Stefnirowi Þorgilssonowi. Strofa sama w sobie przykuwa uwagę ze względu na zachowanie jej w dwóch wersjach językowych — oryginalnej łacińskiej oraz staroislandzkiej, będącej przekładem dokonany przez samego autora. W strofie Stefnirowa, kolejnym poetyckim paszkwilu, pojawia się motyw zakrzywionego nosa, który, jak wskazują badacze<sup>6</sup>, odnosi się do sposobu, w jaki w średniowiecznej ikonografii ukazywano Judasza. Czytelnik tymczasem nie dowiaduje się z edycji ani co za owym zakrzywionym nosem może się kryć, ani dlaczego zarzut zdrady czynił ze strofy Stefnirowa paszkwil najwyższej próby.

Analogicznie — na manowce może prowadzić interpretacja Oddra i innych autorów sag, strofy Halldóra Ókristni, która pochodzi z jego *Eiríksflokkur*, skomponowanego na cześć jarla Hlaðir Eryka. Według przekazu sagi skald mówi o jarlu Sigvaldim i jego udziale w bitwie pod Svoldr. Kluczowa dla zrozumienia strofy identyfikacja osoby określonej przez Halldóra jako „eyna konungr” (król wysp) z królem Danii Swenem Widłobrodym nie tylko każe inaczej niż czynili to autorzy sag postrzegać przekaz skalda. Przede wszystkim dobitnie wskazuje na istotę rozróżniania między potencjalnym oryginalnym znaczeniem poszczególnych wierszy a sposobem, w jaki później były one wykorzystywane przez średniowieczną tradycję skandynawską. Tym bardziej należy zwrócić uwagę, że zaproponowana w edycji wersja „król Eynijczyków” razi sztucznością i jest całkowicie

---

<sup>4</sup> Zob. szerzej L. P. Słupecki, *Konwersja jako zamach stanu. Przyjęcie chrztu przez Islandię w 1000 roku*, w: *Zamach stanu w dawnych społecznościach*, red. A. Sołtysiak, J. Olko, Warszawa 2004.

<sup>5</sup> K. E. Gade, *Sigvat Þórðarson, Bersöglisvisur*, w: *Poetry from the King's Sagas 2*, red. K. E. Gade, cz. 1, Turnhout 2009, s. 27.

<sup>6</sup> W. Baetke, *Christliches Lehngut in der Sagareligion. Das Svoldrproblem. Zwei Beiträge zur Sagakritik*, Leipzig 1951, *Berichte über die Verhandlungen der sächsischen Akademie der Wissenschaften zu Leipzig*, t. 98, z. 6; T. M. Andersson, *Introduction*, w: *The Saga of Olaf Trygvason by Oddr Snorrason*, red. T. M. Andersson, Ithaca-London 2003.

nieczytelna. Tymczasem na uwypuklenie zasługuje umieszczona w przypisie opcja ze Swenem Widłobrodym jako bohaterem strofy, co było już zresztą postulowane w literaturze przedmiotu<sup>7</sup>.

Podobne zastrzeżenia wywołuje potraktowanie w edycji strofy skalda Skuliego Þorsteinssona. Nabrała ona szczególnego znaczenia w badaniach nad rozwojem tradycji związanej z ostatnią bitwą Olafa Tryggvasona. Skuli mówi w niej o boju na południe od ujścia Svoldr („sunnr fyr Svöldrar mynni”), w którym brali także udział Sigvaldi oraz jeszcze jeden wódz, określony mianem wroga Fryzów („Frisa dolg”). Szkoda, że strofa ta nie została opatrzona stosownym komentarzem, który choćby pokrótce wyjaśniałby te kwestie. Wbrew przekazowi Oddra Snorrasona nie pochodzi ona z wiersza poświęconego ostatniej bitwie króla Norwegii. U ujścia Svoldr miał zapewne miejsce, jak wskazują na to pozostałe strofy Skuliego, typowy najazd wikiński. Czytelnik nie dowiaduje się także, że tajemniczym wrogiem Fryzów mógł być jarl Eryk. Choć od razu należy zaznaczyć, że identyfikacja ta jest w dużej mierze oparta na kontekście, w którym strofa funkcjonuje w sagach. Szkoda również, że w edycji brak analizy tego, czym potencjalnie mogło być Svoldr. Przekaz Skuliego odnosi się jednoznacznie do rzeki o takiej nazwie. Tymczasem w sagach, w tym u Oddra, Svoldr to nazwa wyspy, której położenie nie jest do końca precyzyjnie określone. To kolejny przykład bardzo dowolnego traktowania przez autorów sag dostępnej im poezji skaldów. Niemniej czytelnik książki może poczuć się cokolwiek skonfundowany w tej kwestii. Z jednej strony ma strofę Skuliego a z drugiej wcześniejszy przypis 201, gdzie A. Waśko podkreśla, że w zasadzie brak pewności, czym było Svoldr (s. 134). Poezja Skuliego wskazuje, że — wbrew przekazom sag — nie była to wyspa, ale rzeka. W konsekwencji, choć akurat to już wykracza poza problematykę samej sagi Oddra, nazwa ta nie ma nic wspólnego z ostatnią bitwą Olafa Tryggvasona<sup>8</sup>.

Kolejną kwestią, która wymaga komentarza, jest sprawa identyfikacji niektórych z bohaterów sagi, przede wszystkim Burysława, Gunnhildy oraz Sygrydy Dumnej. Moim zdaniem zupełnie niepotrzebnie, a nawet w sprzeczności z naturą przekazu, jakim jest saga Oddra, autorka edycji, śladem wcześniejszych badaczy, za wszelką cenę stara się skojarzyć króla Vindlandu z którymś z Piastów. Podobnie rzecz się ma z żonami króla Danii Swena Widłobrodęgo. Zarówno Gunnhilda, jak i Sygryda powinny być, zdaniem A. Waśko, identyfikowane z córką Mieszka I. Należy zgodzić się z uwagą, że niektórzy historycy utożsamiają Sygrydę, córkę Skoglar-Tostego z Piastówną, często, choć zapewne błędnie, nazywaną Świętosławą (s. 30). W pewnym sensie kryje się za tym stwierdzeniem opinia samej A. Waśko. Warto jednak zaznaczyć, że identyfikacja ta nie ma na dłuższą metę sensu, gdyż miesza dwa odrębne wymiary — historyczny i legendarny. Trudno oczywiście oczekiwać od autorki edycji rozległych wywodów w tej kwestii. Niemniej

<sup>7</sup> G. Labuda, *Fragmety dziejów Słowiańszczyzny Zachodniej*, t. 2, Poznań 1964, s. 249–250; J. Morawiec, *Wolin w średniowiecznej tradycji skandynawskiej*, Kraków 2010, s. 380–382.

<sup>8</sup> Szerzej na ten temat zob. J. Morawiec, op. cit., s. 390–400.

wstęp byłby chyba stosownym miejscem na krótkie wyjaśnienia tego zagadnienia. Zastrzeżenia budzi też treść przypisu 141 ze s. 89. O ile postać Gunnhildy, podobnie jak Sygryda Dumna, może być traktowana jako refleks rzeczywistych rodzinnych koligacji między Piastami a dynastiami skandynawskimi, o tyle łączenie jej z córką Skoglar-Tostego wprowadza niepotrzebne zamieszanie. Obie kobiety przynależą do wymiaru legendarnego, który nie może być traktowany jako w pełni tożsamy z historyczną rzeczywistością przełomu wieku X i XI. Na tak kategorię stwierdzenie pozwalają nawet te skąpe dane źródłowe, które posiadamy. Natomiast saga Oddra jest sama w sobie dowodem na świadomość istnienia słowiańsko-skandynawskich związków rodzinnych oraz ich wagi, co pozwalało późniejszym autorom tworzyć nowe wątki, które miały wzbogacać fabułę o królu-misjonarzu.

Problem ten ujawnia także potraktowanie w edycji postaci króla Vindlandu Burysława. A. Waśko, ponownie „na siłę” i zupełnie niepotrzebnie, widzi w legendarnym władcy bezpośrednie odbicie któregoś z Piastów. Co więcej, uznaje, że za władcą Słowian kryje się raz Mieszko I, a innym razem Bolesław Chrobry. Gdy Olaf Tryggvason żeni się z Geirą, to zdaniem autorki edycji bierze on za żonę córkę Mieszka (s. 11, 41). Jednakże gdy – w rozdz. 46 – przychodzi Burysławowi starać się o rękę Thyry, siostry Swena Widłobrodego, okazuje się, że autorowi sagi musiało chodzić o Bolesława Chrobrego, gdyż od 980 r. Mieszko I miał za żonę Odę (s. 109).

Sądzę, że takie rozróżnianie może stać w sprzeczności z naturą przekazu, a także potencjalną wiedzą jego autora. Obawiam się bowiem, że Oddr Snorrrason nic nie wiedział ani o Mieszku, ani o Chrobrym, a Burysław w obu przywołanych rozdziałach to jedna i ta sama osoba. Autorka edycji jednakże pewności tej już nie ma, chociaż konsekwentnie dostrzega w Burysławie któregoś z obu Piastów. Doskonale oddaje to dołączony do edycji indeks. Wbrew temu, co można w nim znaleźć, legendarny władca Słowian nie występuje w 5 i 12 rozdz. sagi (na s. 30 i 45). Jednak w obu miejscach autorka edycji umieszcza przypisy z odwołaniami do obu Piastów. Ten sztuczny dualizm, wynikający z chęci zgrania chronologii wydarzeń w sadze Oddra z dziejami naszego kraju, prowadzi moim zdaniem do wypaczenia charakteru opowieści mnicha z Thingeyrar. Czy kogoś to rozczaruje, czy nie, należy podkreślić, że występujący w sagach Burysław nie powinien być traktowany jako literacki obraz któregoś z władców Polski. Wątpliwości budzi także traktowanie staronordyckiego imienia Burisleifr jako odpowiednika słowiańskiego Bolesława (s. 41). Analogicznie do kobiecej pary Sygryda-Gunnhilda, usilne starania „dopasowania” Burysława do naszej rodzimej dynastii mogłyby być zastąpione krótką charakterystyką literackiej kreacji, jaką bez wątpienia jest postać króla Słowian, oraz analizy roli, jaką pełni on w sadze Oddra. Także w tym przypadku wstęp byłby idealnym miejscem na tego typu rozważania. Omawiana edycja przekonuje bowiem, że postać Burysława zasługuje na nowe, osobne omówienie, które w pełni uwzględniłoby specyfikę staronordyckiej literatury, w której jedynie się on pojawia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że postać ta

świadczy o pewnym charakterystycznym postrzeganiu świata Słowian przez średniowiecznych Skandynawów i okolicznościach, w których stał się on ważną, choć odrębną częścią literackiej rzeczywistości utrwalonej przez skandy-nawskie sagi<sup>9</sup>.

Powyższe krytyczne uwagi oraz inne drobne błędy<sup>10</sup> nie mącą generalnego pozytywnego wrażenia, jakie pozostawia po sobie lektura wydania oraz radości wywołanej faktem, że Anna Waśko kontynuuje, z powodzeniem, prace na rzecz promocji literatury staronordyckiej wśród miłośników historii w Polsce. Mamy do czynienia z publikacją godną polecenia wszystkim zainteresowanym histo-rią i literaturą średniowiecznej Skandynawii. Wypada mieć nadzieję, że polskie tłumaczenie sagi Oddra Snorrasona stanie się inspiracją i punktem odniesienia dla potencjalnych naśladowców krakowskiej badaczki.

Jakub Morawiec  
(Katowice)

Ruth Mazo Karras, *Unmarriages. Women, Men, and Sexual Unions in the Middle Ages*, Philadelphia 2012, University of Pennsylvania Press, ss. 283, The Middle Ages Series

Zawarty w tytule książki neologizm, *unmarriages*, który można by przetłumaczyć jako „niemałżeństwa”, brzmi po angielsku równie karkołomnie, jak w języku polskim. Temat pracy tłumaczy jednak we wstępie sama Autorka (s. 7–8): dotyczy ona różnopłciowych, długotrwałych związków o charakterze seksualnym, nie będących małżeństwami, a więc par, które łączyła trwalsza więź, a które nie mogły lub nie chciały nadawać jej w pełni formalnego charakteru małżeństwa. Ze względu na dostępność źródeł, a także — jak można się domyślać — zainteresowania Autorki, najwięcej uwagi poświęcone zostało okresowi późniejszego średniowiecza, choć zakres chronologiczny pracy jest znacznie szerszy: obejmuje całość epi-ki, i to od późnej starożytności aż do towarzyszących reformacji debat na temat małżeństw duchownych w XVI w. Jeśli chodzi zaś o zakres geograficzny, to anali-zowane są tu przykłady z całej właściwie Europy Zachodniej, przy czym najwięcej miejsca poświęcone zostaje terenom dzisiejszej Francji (jeden z czterech rozdzia-łów pracy dotyczy wyłącznie Paryża), ale nie brak i obszernych fragmentów doty-czących Włoch, Hiszpanii, Anglii czy Niemiec; w pracy znajdziemy nawet „wy-cieczkę” do średniowiecznej Islandii.

Co ciekawe, praca dotycząca w zamyśle „niemałżeństw” stawia w istocie małżeństwo właśnie w samym swym centrum. Dzieje się tak po części może na-

<sup>9</sup> Por. S. Aalto, *Categorizing Otherness in the King's Sagas*, Joensuu 2010.

<sup>10</sup> Rękopis, który jest podstawą polskiej edycji, nosi nazwę AM 310 4to (a nie MA); Saga o Jomswikingach w ogóle nie wspomina Olafa Tryggvasona, tym bardziej nie może łączyć go z Jomsborgiem. Co więcej, nieprawdą jest, jakoby według tej sagi Joms-borg miał podlegać Mieszkowi I i Bolesławowi Chrobremu. Oczywiście saga w roli tej widzi Burysława.

wet wbrew woli samej Autorki, która stwierdza (s. 8), że początkowo planowała użyć w tytule swej książki określenia „quasi-marital union”, zrezygnowała z niego jednak, gdyż zdradzałoby to przekonanie, że właśnie małżeństwo jest modelem dla innych rodzajów związków. Jest to jednak — ze względu na charakter epoki i pochodzących z niej źródeł — nieuniknione i Ruth Mazo Karras jest tego świadoma; „moim celem jest analiza [zjawiska] więzi między parami bez przyznawania uprzywilejowanej pozycji małżeństwu, przy zachowaniu świadomości, że w istocie ludzie średniowiecza małżeństwo uprzywilejowywali”<sup>1</sup> — pisze (s. 5).

O małżeństwie i związanych z nim regulacjach wprowadzanych przez Kościół traktuje cały rozdział pierwszy. Znajdziemy tu więc omówienie przemian, jakie zachodziły w późnej starożytności, kiedy to — także pod wpływem chrześcijaństwa — następowało coraz silniejsze rozróżnienie małżeństwa od innych form związków, a życie w konkubinacie stawało się coraz bardziej problemem moralnym. Kolejne części tego rozdziału poświęca Autorka małżeństwu w myśli autorów epoki karolińskiej oraz debatom dotyczącym jego zawierania, jakie toczyły się wśród kanonistów wieku XII, i konkluzjom z tej dyskusji, przyjętym wówczas przez Kościół.

W tym rozdziale, podobnie jak w rozdziałach kolejnych, R. M. Karras prezentuje też — jako osobne podrozdziały — portrety kobiet zaangażowanych w pozamałżeńskie związki. Ma to — jak wyjaśnia (s. 9–10) — do pewnego chociaż stopnia zrównoważyć fakt, że źródła, którymi się posługuje, nie tylko wychodzą zwykle spod pióra mężczyzn, ale też znacznie łatwiej niż punkt widzenia kobiet można z nich wyczytać perspektywę, jaką na związki mieli zaangażowani w nie mężczyźni i ich rodziny. Spośród portretów zaprezentowanych w rozdziale pierwszym godna uwagi jest przede wszystkim Heloiza i to nie tylko dlatego, że należy do tych nielicznych, występujących w pracy kobiet, które same są autorkami dotyczących ich źródeł. Jej postać w kontekście tematyki monografii jest o tyle interesująca, że zdaje się ona nie uważać małżeństwa za najbardziej pożądany dla siebie typ związku, czemu daje wszelako wyraz w momencie, gdy jest już mniszką, a więc — jak stwierdza R. M. Karras — bez konieczności wyciągania w swym własnym życiu konsekwencji z przyjęcia tak pryncypialnego, ale zarazem — w jej świecie — bardzo niepraktycznego stanowiska (s. 52). Pozostałe trzy portrety w pierwszym rozdziale — bezimiennej konkubiny św. Augustyna, Waldrady i Ingeborgi Duńskiej — obrazują przede wszystkim formalny status kobiet, których dotyczą. W jego zaś określeniu punktem odniesienia jest zawsze małżeństwo i sposób jego rozumienia w epoce, w której każda z nich żyła.

Owo nieuniknione skupienie uwagi na małżeństwie widać już zresztą we wstępie pracy, w którym omówione zostały podstawy średniowiecznego jego rozumienia w świetle Biblii, prawa rzymskiego oraz tradycji germańskiej. Autorka zwraca uwagę — i jest to konstatacja z pewnością warta rozważenia — że opisujący obyczaj małżeński badacze (dotyczy to zresztą także piszącego te słowa) mają

---

<sup>1</sup> „My goal is to analyze pair bonds without privileging marriage, while still recognizing that medieval people did, in fact, privilege marriage”.

tendencję, aby uznawać powszechnie przyjęte czy też nawet zalecane elementy wczesnośredniowiecznego rytuału małżeńskiego za decydujące o jego ważności i statusie. Tymczasem z faktu, że ślubom między przedstawicielami elity towarzyszyło przekazanie wiana, a związane z tym obrzędy były publiczne, co zresztą spotykało się z aprobatą Kościoła, nie musi koniecznie wynikać, że związek zawarty przy pominięciu tych elementów był w jakiś sposób nieważny (s. 21–24, 31–38). Jak zauważa bowiem R. M. Karras, w żadnej z tradycji, do której odwoływało się średniowiecze łacińskie — biblijnej, rzymskiej czy germańskiej — rytuały czy wymiana dóbr, choć mogły być przyjęte przy zawieraniu małżeństwa, nie decydowały w istocie o tym, który związek stawał się małżeństwem, a który nie (s. 24). W średniowieczu decydował o tym raczej — jak wynika nie tylko ze wstępu, ale i z całości rozważań Autorki — status kobiety, przy czym „status danego związku był powiązany ze statusem kobiety w bardzo skomplikowany sposób. Charakter związku zależał od tego, kim ona była; jednocześnie jej reputacja [–] mogła zależeć od tego, jak związek [w którym żyła] był postrzegany przez innych”<sup>2</sup> (s. 24). Nierównym związkom, w których zwykle to mężczyzna o wyższej pozycji społecznej wiązał się z kobietą o pozycji niższej, poświęcony został rozdział drugi. Ten typ relacji nie był jednak bynajmniej jednorodny, a różnica polegała głównie na tym, czy nieformalny związek dało się przekształcić w małżeństwo, czy też nie. To zaś zależało przede wszystkim (pozostawiając na marginesie sytuacje, gdy jedna ze stron była żonata/zamężna bądź należała do stanu duchownego) od statusu kobiety. I tak, choć począwszy od wieku XII (bo wcześniej niekoniecznie!) wśród kanonistów panowała zgoda, że małżeństwo mężczyzny należącego do elit i kobiety ze społecznych nizin czy też pana i jego służącej było prawnie dopuszczalne (choć w praktyce społecznej właściwie niemożliwe), to inaczej było już w wypadku relacji z niewolnicą albo kobietą innego wyznania (s. 69). Więzy między osobami różnych wyznań zalicza bowiem R. M. Karras także do kategorii związków nierównych, jako że każda ze wspólnot religijnych uważała się za lepszą od pozostałych, a jej członkowie starali się chronić swe współwyznawczynie przed wchodzeniem w relacje z mężczyznami innych wyznań (s. 71).

Kategorię związków nierównych można do pewnego stopnia odnieść także do nieformalnych, trwałych relacji o charakterze seksualnym, łączących kobiety i duchownych, którym poświęcony jest rozdział trzeci. Takie ich rozumienie uzasadnia R. M. Karras tym, że w okresie pogregoriańskim niejako z zasady żadna kobieta nie mogła mieć pozycji równej pozycji kapłana, a więc nie mogła też wejść z nim w cieszącą się pełnym szacunkiem i uznaniem otoczenia związek (s. 116). Działała tu zresztą zasada swego rodzaju błędnego koła, opisana powyżej: kobieta, mając niższą pozycję, nie mogła zostać żoną kapłana, a uznanie, że związki księży nie są i nie mogą być małżeństwami, powodowało, że ich part-

---

<sup>2</sup> „The status of a particular union was intertwined with the status of the woman. In a very complicated way. The nature of the union depended on who she was; at the same time, her reputation [–] might depend on how the union was perceived by others”.



nerki nie były uznawane za żony, co wpływało na ich reputację i obniżało ich społeczną pozycję (s. 117).

Tematowi nieformalnych relacji kobiet i osób duchownych w średniowieczu poświęcono w dotychczasowych badaniach całkiem spory uwagi, z pewnością jednak warte odnotowania jest jedno spostrzeżenie R. M. Karras. Chodzi mianowicie o dość powszechną, choć bynajmniej nie bezwarunkową akceptację tego zjawiska przez świeckich w późniejszym średniowieczu. Otóż wydaje się, że oskarżenie o utrzymywanie zakazanych kontaktów z kobietami pełniło najczęściej jedynie funkcję swego rodzaju „kija”, jaki parafianie — na co dzień tolerujący „księżowską kobietę” — mogli zastosować, jeśli tylko między nimi a ich plebanem pojawił się jakiś spór, choćby w kwestii dziesięcin (s. 148–164).

Ostatni, czwarty rozdział oparła Autorka na lekturze późnośredniowiecznych, paryskich źródeł sądowych, które dają nam unikalny wgląd w życie niższych warstw społecznych, gdzie — jak się wydaje — zjawisko związków nieformalnych było dużo powszechniejsze niż wśród elit. Można mieć jednak wątpliwości, czy rzeczywiście wszystkie z przytaczanych tu (a także w rozdziale drugim, przy omówieniu relacji właściciel–niewolnica czy pan–służąca) przykładów powinny zostać w recenzowanej pracy uwzględnione. Mam na myśli zwłaszcza dość liczne przypadki, w których sprawa wychodzi na światło dzienne i trafia przed oblicze sądu w związku z zajściem przez kobietę w ciążę. Autorka odnotowuje je wśród innych świadectw funkcjonowania niemałżeńskich związków różnopłciowych i wydaje się nie dostrzegać, że w istocie w tych przypadkach — jeśli nie mamy innych świadectw — nie możemy być pewni, czy faktyczne chodzi o jakiegokolwiek trwalsze relacje, stanowiące przeciwieństwo temat książki, czy też mamy tu do czynienia ze świadectwami przelotnych raczej kontaktów seksualnych.

W jakimś sensie podobnie rzecz się ma z niektórymi ze spraw dotyczących par, które sąd uznał za małżeństwa, ale — w związku z brakiem publicznej wymiany przysięg, poprzedzonej ogłoszonymi z ambony zapowiedziami — za małżeństwo utajone, a z tego powodu podlegające karze. Jako że do uznania małżeństwa za ważne wystarczyła jego obietnica i następujące po niej współżycie płciowe, można przypuszczać, że niektóre z takich przypadków mogą być świadectwem raczej krótkotrwałych romansów, a nawet jednorazowych „przygód”. Składane przez mężczyzn zapewnienia o woli ożenku mogły służyć jedynie przekonaniu kobiet do współżycia (s. 182) lub też to kobiety — ze względu np. na swą reputację — mogły twierdzić, że jakieś obietnice padły, gdy sprawa intymnej relacji wyszła już na jaw, choć w rzeczywistości wcale tak nie było (s. 180–181).

Z drugiej jednak strony zasadne wydaje się przypuszczenie, że w niektórych sytuacjach dana w pewnym momencie obietnica przyszłego małżeństwa mogła stanowić dla kobiet żyjących w długotrwałych, nieformalnych związkach swego rodzaju zabezpieczenie praw, do którego można było się odwołać w określonych sytuacjach, np. w wypadku zajścia w ciążę (s. 182). W ogóle warto zauważyć, że prezentowane przez Autorkę paryskie źródła pozwalają stwierdzić, że znajomość podstawowych zasad dotyczących kościelnych wymogów na temat zawierania

małżeństwa była wśród szerszych mas społecznych dość duża. Nie znaczy to, że zwykli paryżanie nie gubili się czasem w bardziej skomplikowanych przypadkach, zaskakuje jednak prawnicza biegłość niektórych z nich (a może czasem jakichś ich doradców), umożliwiającą niekiedy nawet dość sprawne manipulowanie literą prawa dla osiągnięcia własnych korzyści (s. 172–177).

Ciekawy i wielobarwny obraz paryskich „niemałżeństw”, jaki prezentuje nam, opierając się na źródłach sądowych, R. M. Karras, każe jednak wrócić do pytania o miejsce samego małżeństwa w prezentowanym wywodzie. Choć bowiem część spraw tu omawianych kończy się wyrokiem za konkubinaty, „poznanie cielesne” czy deflorację, wiele z nich zamykało orzeczenie utajonego małżeństwa, a więc małżeństwa ważnego, choć zawiązanego bez spełnienia wszelkich wymaganych przez Kościół formalności. Niekiedy takie małżeństwo zostaloby z pewnością orzeczone także i w innych przypadkach, gdyby nie to, że wykluczała je przeszkoda u jednej ze stron, np. była ona osobą duchowną lub pozostawała w małżeństwie. Dobrym przykładem może być tu przypadek niejakej Gilette, która została ukarana za to, że z pewnym mężczyzną złożyła przysięgę małżeńską przed frontem kościoła i zgodziła się, aby być przez niego „poznaną cielesnie”, choć była już zamężna. Gdyby Gilette była osobą stanu wolnego, obietnica i współzycie składałoby się na zawarcie małżeństwa i nic dziwnego, że skryba zapisał najpierw jako tytuł kary „utajone małżeństwo”, co skreślił, aby wpisać nowe uzasadnienie, gdy uświadomił sobie, że rzecz dotyczy osoby zamężnej (s. 207). Owo kluczowe znaczenie małżeństwa jako modelu i punktu odniesienia dla tworzących omawiane tu źródła sądów dostrzeżę zresztą sama R. M. Karras; odzwierciedla to, jak zauważa, sposób myślenia społeczeństwa, w tym nawet tych jego przedstawicieli, którzy świadomie decydowali się na pozostawanie w związkach nieformalnych (s. 207–208).

Kończąc lekturę *Unmarriages*, czytelnik odczuwać może rodzaj zawodu, związany właśnie z faktem, że książka — zaplanowana jako poświęcona „niemałżeństwom” — w istocie co najmniej w tym samym stopniu dotyczy małżeństwa. Czy oznacza to, że mamy do czynienia z pracą nieudaną czy chybioną? Żadną miarą! I to aż z dwóch powodów. Po pierwsze wydaje się, że Autorce udało się powiedzieć o długotrwałych relacjach seksualnych innych niż małżeństwa tyle, ile powiedzieć się o nich da, tj. na ile pozwalają źródła, a czyni to — przypomnijmy — w wyjątkowo szerokiej perspektywie chronologicznej i niewiele węższej perspektywie geograficznej. Po drugie zaś książka ta mówi nam z pewnością coś bardzo istotnego o ważnej instytucji życia społecznego, jaką było w średniowieczu małżeństwo. Kompetentne spojrzenie na nie z nowej perspektywy, a więc od strony związków nieformalnych, samo w sobie wystarcza, aby uznać pracę za ważną, a dla mediewistów zainteresowanych małżeństwem i rodziną za lekturę obowiązkową.

Grzegorz Pac  
(Poznań–Warszawa)

Iain G. MacDonald, *Clerics and Clansmen. The Diocese of Argyll between the Twelfth and Sixteenth Centuries*, Leiden–Boston 2013, Brill, ss. L, 417, *The Northern World. North Europe and the Baltic c. 400–1700 A. D. Peoples, Economies and Cultures*, vol. 61

Niełatwo wyobrazić sobie coś bardziej peryferyjnego w średniowiecznej Europie niż kraina zwana Argyll (gaelicka Airer Goidel) w zachodniej części Szkocji, jak jednak zwraca uwagę Autor, stanowiła ona ważną część szerszej jedności gaelickiej Szkocji, która aż do połowy XVIII w. żyła w zasadzie swoim tradycyjnym życiem toczącym się w systemie powiązań rodzinnych czy krewniaczych. Earlowie, a później książęta Argyll aż do XX w. odgrywali znaczną rolę w dziejach Szkocji i Wielkiej Brytanii, a hrabstwo Argyllshire dopiero w 1975 r. zostało połączone z hrabstwem Bute. Obok czynnika władczego, który ze zmiennym powodzeniem usiłował zdominować lub przynajmniej współkształtować życie społeczne kraju, jedynie Kościół katolicki był w stanie zająć pozycję czynnika może nie dominującego, lecz istotnego, z jednej strony wkomponowanego w struktury społeczne Szkocji, z drugiej – w pewnym zakresie, z biegiem czasu w sposób coraz wyraźniejszy je modyfikującego i upodabniającego do stosunków w Anglii i w całym świecie chrześcijańskim.

O średniowiecznej Szkocji wiadomo w Polsce niewiele, stosunkami kościelnymi i społecznymi w niewielkiej, na peryferii Szkocji położonej diecezji Argyll nie interesował się, czemu trudno się dziwić, chyba nikt, zapoznanie się z drobiazgową analizą przeprowadzoną przez Iaina MacDonalda może mieć z punktu widzenia polskiej nauki historycznej znaczenie przede wszystkim porównawcze, jako że partykularne problemy „życia codziennego” instytucji kościelnych i ludzi Kościoła na obszarze tak zdecydowanie peryferyjnym, nieoczekiwanie jednak, jak się okazuje, dość uprzywilejowanym pod względem zachowanego materiału źródłowego, mogą stać się inspirujące w badaniach na innych podobnych obszarach Europy chrześcijańskiej. Trzeba zresztą dodać, że nawet historiografia szkocka czy brytyjska niezbyt skwapliwie zajmowała się dziejami biskupstwa Argyll, zwłaszcza w późnym średniowieczu (tylko z pozoru mogłaby temu przeczyć starannie zebrana na s. 368–389 literatura publikowanych źródeł i literatury przedmiotu), już bardziej interesując się z jednej strony wczesnymi dziejami chrześcijaństwa w Szkocji, wplecionymi w polityczne dzieje Piktów i „Szkotów” (Iryczyków), z misją Kolumby Starszego (Columcille) i słynnym opactwem w Iona (Hy), położonym w pobliżu zachodnich wybrzeży Szkocji, z drugiej zaś z początkami i progresem reformacji protestanckiej.

Zasadnicza część monografii MacDonalda składa się ze wstępu (s. 1–18) i sześciu rozdziałów. Pierwszy z nich, „The Origins of the Bishopric of Argyll” (s. 19–60), przedstawia najpierw niezbyt wyraźnie ujawniające się w źródłach początki organizacji kościelnej w zachodniej Szkocji przed (przypadającym na koniec XII w., ale niepoddającym się dokładnej dacie) powstaniem biskupstwa Argyll (z ośrodkiem w Lismore), a następnie dzieje biskupstwa w decydujących dla późniejszego rozwoju wiekach XII–połowa XIII. Kolejne rozdziały dotyczą różnych aspektów

dziejów diecezji w późnym średniowieczu (do Reformacji). W rozdziale 2, „The Late Medieval Bishopric and Its Bishops” (s. 61–108), Autor, poza ogólnym zarysem dziejów diecezji, dużo uwagi poświęca jej stopniowo malejącemu, szczególnie w przededniu reformacji, prestiżowi, czego najlepszym dowodem było niechętnie przyjmowanie godności biskupiej przez królewskich kandydatów. Przyczynami tego stanu rzeczy, jak zauważył sam monarcha Jakub V w 1539 r., było skąpe uposażenie oraz słabe ucywilizowanie mieszkańców, będące skutkiem peryferyjnego położenia i sąsiedztwa z Irlandią i wyspami. MacDonald w związku z tym, jak również w niektórych dalszych partiach pracy, dostrzega jednak także rolę nieprzychylnych dla ludności gaelickiej i tendencyjnych opinii mieszkańców „Nizin” (Lowlands), wśród których powstawały najczęściej będące do dyspozycji historyka źródła. Rozdział 3, „The Origins of the Clergy” (s. 109–161), prowadzi do problematyki niemal zupełnie dotąd w nauce nieporuszonej, ponieważ zaś kościelne źródła średniowiecznej Szkocji uległy daleko posuniętemu zniszczeniu, wszelkie badania nad wewnętrznymi problemami Kościoła w Szkocji muszą się opierać tylko na zachowanych rejestrach papieskich i tylko dzięki nim są w gruncie rzeczy możliwe, co tym samym określiło granice chronologiczne analizy MacDonalda od lat czterdziestych XIV w. do 1560 r. Liczbę źródłowo uchwytnych przedstawicieli kleru diecezjalnego w obrębie tych lat ustalił Autor na 419, z czego 354 dzierżyło beneficja w diecezji. Drobiazgowa analiza źródeł wykazała, że przeważająca część duchowieństwa była miejscowego (w szerszym słowa tego znaczeniu) pochodzenia, choć udział osób pochodzących z innych regionów kraju także był dość znaczny. Udało się ustalić, że wywodzili się oni z drobniejszej szlachty i najczęściej dzierżyli swe skromne beneficja w obrębie rodzimej parafii bądź miejscowości, lokalnie niezwiązani byli jedynie duchowni działający w szerszych ramach kościelnych powiązań (ecclesiastical networks) dwóch głównych klanów możnowładczych (Clann Dómhnaill i Clann Chaimbeul). Nieuchronnym, ale niepożądanym z punktu widzenia interesów Kościoła zjawiskom poświęcony został rozdział 4, „Clerical Celibacy, Illegitimacy and Hereditary Succession” (s. 163–204). Akurat ta problematyka spotkała się z relatywnie sporym zainteresowaniem w literaturze przedmiotu, oczywiście w szerszym terytorialnie zakresie, przy czym często występował pogląd o szczególnym nasileniu konkubinatu, nieprzestrzegania celibatu oraz zjawiska dziedziczenia godności kościelnych w społecznościach celtyckich, odpornych na nakazy i zakazy z zewnątrz, także na dyscyplinującą politykę papieża epoki postgregoriańskiej. MacDonald próbuje częściowo zrehabilitować ten tradycyjny punkt widzenia; nie negując znaczenia familijnych i rodowych powiązań w Kościele szkockim, zwraca uwagę na powszechny charakter zjawiska w Europie łacińskiej i ograniczony w praktyce sukces stronnictwa reform, w późnym średniowieczu w pewnym stopniu (także w Szkocji) zrekompenzowany praktyką papieskich prowizji, łamiących tradycyjne zwyczaje.

Trudno byłoby oczekiwać zbyt wysokiego poziomu intelektualnego duchowieństwa ubogiej i kresowej diecezji. W rozdziale 5, „Education and Learning” (s. 205–232), Autor starannie zbiera rozproszone informacje o studiach osób duchownych z diecezji Argyll i dochodzi do wniosku, że na wspomnianych 419

przedstawiciele miejscowego duchowieństwa 119 albo uzyskało stopień akademicki, albo przynajmniej studiowało, najpierw za granicą (w Anglii lub na kontynencie, najczęściej w Paryżu), poczynając zaś od XV w., przede wszystkim na miejscowych szkockich uniwersytetach (St. Andrews założony w 1410, Glasgow w 1451 i Aberdeen w 1495 r.), jednak z tej liczby mniejsza część pochodziła z terenów samej diecezji. Oprócz wątku edukacyjnego Autor podejmuje w tym rozdziale także inną problematykę, jedynie szczątkowo oświetloną w materiale źródłowym, taką jak zasób i charakter tekstów dostępnych w gaelickiej Szkocji, ślady znajomości dziedzictwa antycznego czy skromne próby oryginalnej rodzimej twórczości literackiej. Obszernej i zróżnicowanej problematyki dotyczy ostatni, 6 rozdział monografii MacDonalda, „Pluralism, Non-Residency and Pastoral Care” (s. 233–264), z konkluzją, że mimo wszelkich, występujących przecież nie tylko w gaelickiej Szkocji, trudności i przejawów kryzysu, Kościół w tym kraju doznał w późnym średniowieczu znacznego ożywienia, a reformacja, zjawisko niewątpliwie o podstawowym znaczeniu, poprzez likwidację – jak wyliczono – co najmniej dwóch trzecich istniejących uprzednio publicznych miejsc kultu i ze względu na ograniczoną (przynajmniej we wczesnych fazach) podaż protestanckiego duchowieństwa znacznie utrudniła wiernym dostęp do miejsc kultu i możliwość praktyk religijnych.

Narracyjną część monografii zamykają konkluzje (s. 265–269). „Much of what we have learned about the Church and clergy in the later medieval period indicates that it was in a far healthier condition than previous generations of scholars were willing to admit [– –]. It [*scil.* Scottish Church] may have lain on the edge of Christendom but the Church here was no less «mainstream» than anywhere else in Western Europe” (s. 269).

Koniecznien trzeba podkreślić znakomitą dokumentację monografii Iaina MacDonalda. Rozpoczyna ją 9 ilustracji (wykaz na s. IX) przedstawiających budowle i zabytki ruchome związane z tematem pracy, po nich następuje 10 tabel i diagramów (wykaz na s. XIX) przedstawiających w syntetycznym ilościowym ujęciu takie zagadnienia, jak czasowy rozrzut petycji do papieży z terenu diecezji Argyll, genealogia duchowieństwa należącego do dwóch wyżej wymienionych głównych klanów, różne aspekty nielegalnego potomstwa duchownych, uniwersytety, na których studiowali przedstawiciele kleru z Argyll, oraz wartość beneficjów diecezjalnych. Z kolei zamieszczono 6 mapek (wykaz na s. XXXIII), niestety nie wszystkie z nich wypadły dość przejrzystie. Wykaz skrótów bibliograficznych (s. XLIII–XLVII) i wyjaśnienia dotyczące nomenklatury stosowanej w książce (s. XLIX–L) zamykają część wstępną. Właściwą dokumentacją tabel i diagramów ze wstępu oraz całej monografii jest aneks, składający się z dwóch części. Pierwsza z nich to obszerne (s. 271–357) prozopografia przedreformacyjnego duchowieństwa diecezjalnego do 1560 r. według parafii, natomiast druga (s. 359–365) to wykaz duchownych kształconych na uniwersytetach krajowych i zagranicznych. Wykaz wykorzystanych niepublikowanych (s. 367–368) i publikowanych (s. 368–373) źródeł oraz wspomniana już bibliografia opracowań (s. 373–389), a także staranny indeks dopełniają we

wzorowy sposób monografii, podstawowej z punktu widzenia lokalnego Kościoła w zachodniej Szkocji i — jak starałem się wykazać — mogącej zainteresować także historyków Kościoła na innych, zwłaszcza peryferyjnych, obszarach łacińskiej Europy.

Jerzy Strzelczyk  
(Poznań)

Agnieszka Bartoszewicz, *Piśmienność mieszczańska w późnośrednio-wiecznej Polsce*, Warszawa 2012, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, ss. 348

Celem, jaki postawiła w omawianej pracy warszawska mediewistka, była odpowiedź na pytanie, jak powstawała i rozwijała się miejska piśmienność pragmatyczna w Królestwie Polskim późnego średniowiecza (XIV–XV w.). W definicji kluczowego dla zrozumienia intencji badaczki terminu Autorka podkreśliła, że piśmienność pragmatyczna jest postrzegana przez nią jako technologia (s. 10), a drugorzędne znaczenie ma piśmienność rozumiana jako rezultat formacji kulturowej jego twórcy. Piśmienność pragmatyczną należałoby zatem rozumieć nie jako twórczość, którą badacz powinien odczytać i zinterpretować, lecz jako działanie, część pracy wykonywanej przy użyciu pisma, by zaspokoić potrzeby osób sprzężonych ze sobą interesami realizowanymi w ramach instytucji życia społecznego. Dzięki zapisowi pragmatycznemu (określeniu jego treści i zasięgu społecznego) badacz odsłania funkcjonowanie instytucji życia publicznego i ich powiązanie z potrzebami społecznymi.

Badaną piśmienność Agnieszka Bartoszewicz umieściła w okresie od pierwszych zachowanych świadectw urzędowej praktyki pisarskiej z przełomu XIII i XIV stulecia do lat dwudziestych XVI w., biorąc pod uwagę teren ówczesnego państwa polskiego oraz związanego z nim stosunkiem lennym Mazowsza.

Zamierzeniem projektu było napisanie pracy o charakterze syntetycznym, która wskaże zasięg instytucjonalny i środowiskowy piśmienności i zarejestruje w perspektywie czasowej zmiany społeczne, jakie przyniosło wprowadzenie pisma do działalności urzędowej miast polskich w XIV i XV w. Praca miała podsumować stan badań i wyznaczyć nowe kwestionariusze badawcze. Tak zdawał się sugerować tytuł, jak i zadeklarowane dążenie do spenetrowania wszystkich grup społecznych miast polskich pod kątem wykorzystania przez nie pisma.

Rozważmy założenia recenzowanej pracy. „Piśmienność to umiejętność czytania i pisania wpływająca na światopogląd, relacje międzyludzkie i organizację społeczeństwa” (s. 9, przyp. 4). Tak otwiera pole badawcze Autorka, wskazując na obszary poznania społeczeństwa, w których pismo było decydującym kryterium przynależności. Badana przez A. Bartoszewicz piśmienność została zawężona w definicji do zastosowania pisma, rozumianego jako nowa technologia zastępująca tradycję ustną. Definitywna redukcja zaowocowała uwypukleniem ważnego problemu: czy tak ujęta piśmienność mieszczańska uzasadnia

posłużenie się tym terminem? Czy użyty w tytule zbyt szeroki zakres znaczeniowy terminu („piśmienność”) nie dezorientuje czytelnika książki sugerując, że dostanie więcej, niż otrzymuje w rzeczywistości?

Nie jest łatwo zdefiniować piśmienność. Sformułowana definicja „piśmienności mieszczańskiej” została w rzeczywistości pozbawiona szerszych odniesień. Choć czytamy, że piśmienność wpływa na światopogląd, relacje międzyludzkie i organizację społeczeństwa (s. 9, przyp. 4), to trudno jest po lekturze książki uznać, że Autorce udało się zmierzyć jej wpływ poza ogólnym stwierdzeniem o podniesieniu prestiżu pisarzy, na który i tak pewnie składało się wiele czynników, takich jak choćby wiedza, jaką wprowadzali do obiegu za pomocą pisma, i inne umiejętności pozwalające utrzymać wyznaczony status w grupie<sup>1</sup>. Trafne wydaje się stwierdzenie, że umiejętność pisania umożliwiała wejście do urzędniczych struktur miejskich, a te nobilitowały pisarza.

Idąc śladem Autorki, przyjmijmy jednak, że dla zawodowej grupy pisarzy, których poziom umiejętności pisarskich był różny, umiejętność zapisu połączona z rozumieniem komunikatu pisanego była konieczna, choć często spowodowana do rozumienia i stosowania urzędowych formuł. Te nie pozwalają na pełne określenie piśmienności ogólnej, definiowanej tradycyjnie w środowisku mediewistów jako połączenie piśmienności sakralnej i pragmatycznej<sup>2</sup>. Podejmując wysiłek zrozumienia pojęcia „piśmienności mieszczańskiej” w ujęciu A. Bartoszewicz, należy w punkcie wyjścia uznać je za kategorię otwartą, niedopowiedzianą. Zatem to właśnie doprecyzowaniu zasięgu wykorzystania pisma w praktyce urzędowej, szerzej — zawodowej, poświęcona została cała książka.

Wydaje się, że jednym z zamiarów badaczki było wskazanie związków piśmiennictwa z rozwojem instytucji życia miejskiego, w którym zostało pismo zaadaptowane. Stąd ważne stało się umieszczenie badanej kwestii w perspektywie diachronicznej, pozwalającej na uchwycenie zmiany, na określenie wpływu, wreszcie na ustosunkowanie się do pytania o to, jak wykorzystanie pisma w praktyce zawodowej wpływa na jego użytkowników działających w ramach stworzonych przez życie publiczne. Stąd czytelność zastosowania pojęcia „nowa technologia”<sup>3</sup>, odsyłającego do wizji rozwoju mierzonggo przełomami związanymi z wprowadzaniem do powszechnego obiegu wynalazków znacząco modyfikujących życie społeczne. Tutaj chodziło o koncepcję przełomu komunikacyjnego, jaki niesło ze sobą wprowadzenie pisma do praktyki

---

<sup>1</sup> Należałoby zaznaczyć, że prestiż, o którego mocy decyduje umiejętność pisania, nie jest zasadniczym komponentem w momencie ukształtowania takiej umiejętności w odniesieniu do każdej grupy społecznej. Istotą każdej z nich jest bowiem posiadanie własnych zasad awansu. Piśmienność może być jednym z jego czynników.

<sup>2</sup> Rozumianej także jako piśmienność okazjonalna, za: A. Adamska, *Średniowiecze na nowo odczytane. O badaniach nad kulturą pisma*, RH 65, 1999, s. 137, przyp. 57.

<sup>3</sup> W. Ong, *Pismo a struktura świadomości*, „Przegląd Humanistyczny” 32, 1988, nr 4/5, s. 159–179, (oryg. ang. 1982), za: *Antropologia słowa*, oprac. G. Godlewski, A. Mencwel, R. Sulima, Warszawa 2003.

kancelaryjnej na przełomie XIII i XIV w., na podobieństwo tego przełomu, który przyniósł druk kilka wieków później<sup>4</sup>. Progres w jakości działania instytucji życia publicznego daje się wskazać i przekonująco udowodnić, czego miarą jest większa liczba wystawianych dokumentów oraz ich archiwizacja. Jednak w odniesieniu do tytułowej piśmienności mieszczańskiej przyjęte przez Autorkę założenie — o piśmie jako o autonomicznym wehikule awansu społecznego — jest niesatysfakcjonujące, a umieszczenie takiego stwierdzenia w tytule nawet mylące.

Ponieważ umiejętność pisania jest definiowana jako narzędzie pracy i jeden ze sposobów komunikacji (s. 10) w ramach działań podejmowanych przez władze miejskie, a którego efektywność najlepiej widać w działaniach instytucji, to instytucjom Autorka poświęca najwięcej uwagi, na drugim miejscu umieszczając formację pisarską urzędników, świeckich użytkowników pisma. Widać zatem w dążeniu A. Bartoszewicz chęć ukazania związku między rozwojem działalności instytucji, widzianym jako stopniowe poszerzanie oferty działań opartych na znajomości pisma, z rozwojem kadry urzędniczej, której prestiż wynika z posługiwania się piśmie. Rozumiemy zatem przedsięwzięcie mediewistki jako polegające na ograniczeniu badania piśmienności do ram miejskiej praktyki urzędniczej i badania wpływu umiejętności pisania na status społeczny tych, którzy czynili z niej źródło swych dochodów.

Recenzowana książka ma jasny układ treści. Ważną jej część interpretacyjną stanowią oparte o dokładne odniesienia źródłowe niemal socjologiczne rozważania, których celem było stworzenie jak najpełniejszej charakterystyki grupy zawodowej pisarzy: zatrudnionych w kancelariach miejskich (rozdz. 3), wynajmowanych do przedsięwzięć wymagających znajomości pisma (rozdz. 4), wreszcie w ramach przedsięwzięć prywatnych (rozdz. 5). We wskazanych trzech rozdziałach Autorkę interesował status materialny pisarzy, możliwości zarobku oraz perspektywy rozwoju zawodowego. Rozdział 2 w całości, a 5 w części, zostały poświęcone omówieniu zawartości dokumentacji. Całość książki poprzedziło wprowadzenie na temat drogi kształcenia do zawodu pisarza (rozdz. 1).

W pierwszym rozdziale A. Bartoszewicz omówiła system szkolnictwa parafialnego i uniwersyteckiego, aby podkreślić jego wpływ na kształt hierarchii grupy, którą francuski historyk Jacques Verger ujedynolicił, nazywając *les gens de savoir* (s. 40). Próba ukazania klarownej stratyfikacji wspólnoty posługującej się piśmie nie mogła zakończyć się powodzeniem, na co Autorka zwróciła uwagę, przedstawiając dowody na heterogeniczność grupy. Hierarchiczność tzw. czwartego stanu definiowana była bowiem w odniesieniu do szczebli edukacji jak i miejsc, gdzie pismo mogło znaleźć zastosowanie. Widać to było w podziale na elitę, jaka powstawała w kręgu dworskim i kościelnym, oraz absolwentów szkół parafialnych (s. 41). Ich przynależność instytucjonalna była niewystarczającym kryterium przynależności. Istotą takiego podziału jest instytucjonalna deklaratywność, która sugeruje istnienie standardów, ale która nie dostarcza badaczom wiedzy na temat poziomu rzeczywistych umiejętności pisarskich zatrudnionego. Warszawska badaczka nie

<sup>4</sup> Zob.: A. Adamska, op. cit. s. 133–134.



wahała się wprowadzić do pionowego układu grup pośrednich określonych wspólnym mianem *pauperes litterati*, zajmujących się usługami pisarskimi, jak choćby dobrze w źródłach poświadczeni zastępcy sądowi (s. 59, pełen zestaw zawodów został omówiony w 4 rozdziale). Oni także są identyfikowani na podstawie deklarowanego poziomu wykształcenia, lecz okazywane zaangażowanie w usługi piśmiennicze podkreśla złożoność, niepewność ich zawodowych losów. Pozwala ono także domniemywać chęć awansu osób, dla których znajomość pisarskich formuł urzędowych była atutem. Autorka przyznaje jednak, że nie potrafiła udzielić precyzyjnej odpowiedzi na pytanie o zasięg piśmienności pragmatycznej (s. 261).

Rozdział 2 i 3 książki można potraktować jako części wobec siebie komplementarne. Drugi zestawia informacje na temat typów miejskiej dokumentacji kancelaryjnej. Centrum zainteresowania trzeciego uczone uczyniła zawody pisarskie dające się uchwycić w miejskich źródłach. I po raz kolejny zderzyła się z problemem niemożności poddania pisarzy jednolitym kryteriom identyfikacji i określenia ich jako jednolitej grupy zawodowej (s. 188). Niewiele wiemy o poziomie umiejętności pisarskich jak i o zasięgu tej umiejętności w grupie rzemieślników. Z ruchliwości pisarzy, przemieszczających się z jednego do drugiego ośrodka miejskiego, możemy jednakże wnioskować, że usługi nie były wysoko opłacane (s. 158–166). Niewielka liczba zarejestrowanych dochodów z tytułu usług pisarskich (znana tylko dla najwyżej opłacanych), jak i fakt szybkiego upowszechniania się piśmiennictwa dodatkowo utrudniają identyfikację grupy zawodowej.

Odrębnej kategorii zawodowej, wskazanej w rozdziale 1 jako *les gens de savoir*, został poświęcony rozdział 4, zatytułowany „Profesjoniści słowa pisanego”. Podobnie jak wyżej wyodrębniona i opisana grupa kancelistów byli to usługodawcy, oferujący mieszczanom umiejętność pisania i rozumienia komunikatów pisanych, wykorzystywaną w bezpośrednich lub pośrednich relacjach z administracją i wymiarem sprawiedliwości. Osobną kategorię tworzyli zajmujący się reprodukcją książek kopiści i prywatni nauczyciele, określane przez pryzmat statusu materialnego jako *pauperes litterati*. Łączącą ich cechą było — jak sądzę — jeszcze większe uzależnienie od umiejętności pisarskich jako źródła dochodu, a przekazy źródłowe milczą o innych umiejętnościach, jakimi dysponowali. Rywalizacja w tak heterogenicznej grupie była duża, tym większa, im ośrodek miejski przyciągał więcej zainteresowanych zdobywaniem wiedzy na poziomie uniwersyteckim. Ze względu na skąpe informacje źródłowe, po raz kolejny nie udało się A. Bartoszewicz określić grupy profesjonalistów słowa pisanego ani z punktu widzenia osiąganych dochodów, ani ze względu na osiągnięty prestiż (s. 231, 237–239). Termin „profesjoniści słowa pisanego” jest ciekawą propozycją generalizacji, której w zetknięciu z rzeczywistością oddaną w tekstach źródłowych nie można wypełnić precyzyjnym znaczeniem. Termin ten niewiele wnosi do poznania średniowiecznego świata. Wpływ *pauperes litterati* na alfabetyzację społeczeństwa, choć niezaprzeczalny, pozostanie zdroworozsądkową hipotezą. Wydaje się, że w związku z nieobszerną bazą źródłową istotą kwestionariusza badawczego powinien być nie — trudny wszak do

uchwycenia – stopień alfabetyzacji społeczeństwa, lecz jej jakość oceniona w oparciu o istniejące teksty źródłowe i badania punktowe.

W rozdziale 5 omówienia doczekała się dokumentacja znajdująca się w domach mieszczan, głównie kupców. Chodzi zarówno o dokumenty dotyczące prawa spadkowego, potwierdzenia transakcji handlowych, listy oraz dzieła literackie. Wszystkie one dowodzą sprawnego posługiwania się pismem, choć należy zauważyć, że część dokumentacji mogła powstać dzięki pracy zleconej, wykonanej przez wynajętego, godnego zaufania, pisarza.

Osobny podrozdział zajmuje kwestia relacji między językami tekstów pragmatycznych – łacińskim a językami narodowymi (niemieckim i polskim). Język dokumentacji prawnej dowodzi, że przyczyną posługiwania się danym językiem była tradycja dokumentowania, nie zaś język, którym posługiwali się na co dzień mieszkańcy. Inaczej rzecz się ma w odniesieniu do języka pisanego elit: tutaj pochodzenie narodowe implikowało posługiwanie się językiem pisanym narodowym. Stwierdzenie to dotyczy głównie użytkowników języka niemieckiego, imigrantów, w pierwszym lub kolejnym pokoleniu, którzy przywieźli ze sobą umiejętności użytkowe, wiążące się z bogatszą praktyką zawodową na terytorium niemieckim. Przegląd dokumentów kancelaryjnych dowodzi, że językiem komunikacji urzędowej – a zatem poza obiegiem środowiskowym i w pewnym sensie międzynarodowym – pozostawała łacina, której prestiż utrzymywał się jeszcze w XVI w., dłużej w korespondencji hierarchów kościelnych, także wśród elit intelektualnych, np. w języku prawniczym, terminologii dyplomatycznej.

A. Bartoszewicz wskazała kilka cech wspólnoty piszących. Opisała jej ponadstanowy charakter, zwróciła uwagę na większą niż gdzie indziej mobilność przestrzenną, na uczynienie ze znajomości technik pisarskich atutu w procesie awansu społecznego. Sformułowane wnioski nie wybiegają poza dokonane w innych opracowaniach ustalenia, z których znajomości Autorka zdaje relację we wstępie poświęconym literaturze przedmiotu. Czy winić za to ubogą bazę źródłową, jaką zakreslają ramy przestrzenne tematu, czy koncepcję pracy, której celem była ocena piśmienności polskich pisarzy w odniesieniu do zachodnioeuropejskich rezultatów badań? Bardziej zasadne byłoby wykonanie pracy wstępnej, polegającej na udzieleniu odpowiedzi na pytanie, czy polska wspólnota piszących miała cechy inne od wspólnoty piszących z zagranicznych ośrodków miejskich. A tak otrzymaliśmy bogate zestawienie encyklopedyczne i faktograficzne dowodzące skądinąd ważnej tezy o braku istnienia wspólnego interesu grupy piszących i ich podatności na prawa rynku usług, co samo w sobie mogłoby być ciekawym tematem badawczym.

Trzeba zwrócić uwagę na skrupulatność Autorki w podawaniu danych źródłowych. Ich wartość umyka jednakże uwadze czytelnika, zwłaszcza jeśli sprowadzają się do drobiazgowego wyliczenia wszystkich miejsc, imion i nazwisk. Niekiedy wywody są przytłaczane przez dane. Brak równowagi między danymi źródłowymi a wnioskami, które płyną z ich prezentacji, obniża wartość refleksji, sprawia wrażenie ostrożnej, czyni ją mniej spójną, choć z encyklopedycznego punktu widze-

nia pełną. Daje czytelnikowi do zrozumienia, że Autorka wyżej ceni informacyjną wartość tekstu od refleksji, o jaką mogła się pokusić, dysponując tak dużą wiedzą źródłową.

Atutem recenzowanej pracy jest rzetelne wydobycie i zestawienie informacji źródłowych na temat wspólnoty piszących obszaru Królestwa Polskiego i Mazowsza. Praca zatem spełnia kryteria ujęcia syntetycznego. Czy wyczerpuje problematykę piśmienności mieszczańskiej? Niedostatki bazy źródłowej nie pozwoliły na dokonanie bardziej gruntownej oceny wpływu piśmiennictwa pragmatycznego na relacje społeczne i polityczne, dały jednak nieznaną do tej pory obraz grupy posługującej się pismem. Jestem pewny, że jako opracowanie piśmienności pragmatycznej książka Agnieszki Bartoszewicz będzie bardzo pożytecznym wprowadzeniem i niezastąpionym punktem wyjścia do dalszych badań nad piśmiennością.

Jan Mackiewicz  
(Warszawa)

Magdalena Ogórek, *Beginki i waldensi na Śląsku i Morawach do końca XIV wieku*, Racibórz 2012, WAW, ss. 292

Książka składa się z trzech rozdziałów, z których drugi podzielony został na część A i B (rozdziały te dzielą się w sumie na 29 podrozdziałów), wstępu, zakończenia oraz bibliografii, której część odnosząca się do źródeł określona została jako aneks. Struktura pracy wydaje się klarowna, tytuły rozdziałów i podrozdziałów odpowiadają zasadniczym kwestiom tam przedstawionym. Pewne zagadnienia można by scalić, np. podrozdziały rozdziału 2 (B): 1 i 6 dotyczące pochodzenia i rodowodu oraz 2, 3 i 4 dotyczące identyfikacji doktrynalnej świdnickich heretyków.

Zakres chronologiczny pracy to przede wszystkim wiek XIV, natomiast zakres terytorialny to Śląsk i Morawy. Mimo że Autorka pisze: „Ziemie te bowiem były ze sobą ściśle powiązane, chociażby ze względu na ustawiczną migrację heretyków, a analiza źródeł dotyczących Moraw wnosi wiele nowego także do opisu ich działalności na Śląsku” (s. 9) – to jednak na kartach książki nie znajdziemy dowodów owych związków heretyków śląskich i morawskich. Magdalena Ogórek zwraca też uwagę na braki źródeł morawskich, które „świetnie uzupełniają źródła czeskie”. Do Czech i tych źródeł czeskich ucieka się we wszystkich częściach pracy niezwiązanych ze Śląskiem. Skoro więc zarówno Czechy, jak i źródła czeskie są tak istotne, dlaczego Autorka nie uwzględniła ich w tytule, ograniczając się tylko do Moraw?

Rozdział 1 nosi tytuł „Z dziejów beginek i waldensów w średniowiecznej Europie”. W podrozdziale 1: „Katarskie doktryny i ich wpływ na inne ruchy hereetyckie” Autorka wiele miejsca poświęca omówieniu doktryn waldensów i beginek, dopatrując się w nich idei katarskich (s. 17, s. 15, por. s. 43–44<sup>1</sup>, s. 123) oraz

<sup>1</sup> W podrozdziale 3 poświęconym waldensom i ich ekspansji w Europie w XIII w.

twierdząc, że „ideologia katarska stworzyła podwaliny, z jakich korzystały zarówno beginki, jak i waldensi” (s. 19). Wydaje się, że zasadniczym błędem jest utożsamianie herezji wyrastających z zupełnie innych korzeni. Katarzy bowiem, jak wiadomo, brali swą genezę ze starożytnego dualistycznego manicheizmu oraz gnostycyzmu, które poprzez ormiańskich paulicjan, bałkańskich bogomilów i patarenów trafiły do Langwedocji, gdzie rozpowszechniły się w XI i XII w.<sup>2</sup> Natomiast zarówno waldensi, jak i beginki były to ruchy ewangeliczne, poszukujące *vita evangelica* poza Kościołem, który nie spełniał ich oczekiwań. Wszak waldensi od początku swego istnienia nastawieni byli zdecydowanie wrogo do katarskich „arcyheretyków” także z powodu ich dualizmu<sup>3</sup>. Nie wiadomo także, dlaczego M. Ogórek konsekwentnie nazywa „ojca” sekty waldensów Piotrem z Valdo, kiedy wiadomo, że waldeńskim protoplastą był lyoński kupiec Valdes (Valdo), który nazwany został Piotrem w XIV w. przez swych uczniów chcących nawiązać do tradycji wczesnochrześcijańskiej<sup>4</sup>.

Podrozdział 2: „Beginki w średniowiecznej Europie” rozpoczyna się stwierdzeniem, że „Załączków ruchów propagujących ubóstwo należy poszukiwać już w XI wieku w społecznościach kobiecych” (s. 27) — lecz o jakie społeczności kobiece w tym czasie chodzi, Autorka nie podała. Następnie dowiadujemy się, że ruch ten był przejawem dążenia do realizacji zasad życia apostołskiego oraz „dawał zajęcie kobietom, które nie mogły liczyć na zamążpójście” (s. 28). Stwierdzenie to byłoby w zasadzie słuszne, gdyby nie zostało przekreślone opinią ulokowaną dwie strony dalej, że oskarżycielom beginek sprzyjali „niedoszli mężowie kobiet, które zdecydowały się wieść żywot beginek” (s. 30). Jak to więc było z szansami matrymonialnymi tych kobiet? Na s. 36–40 omówiona została sytuacja beginek w Strasburgu w kontekście religijnego ustawodawstwa. Omówienie rozpoczyna się refleksją o „niekonsekwencji, ograniczoności i braku sumienności kościelnych urzędników” (s. 36), kończy zaś stwierdzeniami, że biskup strasburski zezwolił beginkom „na przyjęcie ich wcześniejszego trybu życia i nie niepokoił ich więcej”, natomiast w samym Strasburgu beginkom działa się „niewielka krzywda” (s. 38), a „spokój

---

Autorka powtarza swe wcześniejsze konkluzje jakoby waldensi „formowali się w obrębie doktryn katarskich” (s. 43). Wygłasza przy tym cały szereg wzajemnie sprzecznych opinii: na s. 49 twierdzi np., że „Nic nie wskazywało, że wcześniejsi heretycy [katarzy — J. S.] mieli bezpośredni wpływ na Valdesa i jego zwolenników. [– –] Wykluczeni z Kościoła tworzyli dogmaty, bronili swojej wiary przed dualizmem katarów”. Dowiadujemy się więc, że waldensi negowali katarski dualizm. Jednak na s. 48 Autorka wyraziła opinię, że elementem łączącym waldensów z katarami był „sposób dobrowolnego życia ewangeliczno-apostołskiego w ubóstwie oraz bardzo stanowcze odcięcie się od nauki dualistycznej”, a na s. 57, że wrogiem waldensów był kataryzm, który „nie propagował życia apostołskiego w ubóstwie”. To w końcu jaki był stosunek waldensów do katarów?

<sup>2</sup> Por. S. Runciman, *Manicheizm średniowieczny*, Gdańsk 1996 (oryg. ang. 1947), s. 13–161.

<sup>3</sup> Por. M. Lambert, *Herezje średniowieczne. Od reformy gregoriańskiej po reformację*, Gdańsk–Warszawa 2002 (oryg. ang. 1977), s. 109, 115–116.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 100, 221.

i brak prześladowań w ostatnich dziesięcioleciach XIV wieku” zawdzięczają papieżom (s. 39–40). Po co więc te antykościelne oskarżenia ferowane na początku? Zresztą cały ten fragment „strasburski” niepotrzebnie koncentruje uwagę na sytuacji beginek w jednej diecezji, bez wykazania, że była ona reprezentatywna dla całej Europy. Brakuje tu refleksji nad ewentualnymi różnicami między beginkami, tercjarkami oraz mieszkankami „domów dusznych” (*Steelhäuser*)<sup>5</sup>.

Rozdział 2: „Życie codzienne beginek i waldensów na Śląsku i Morawach” podzielony został na dwa działy. W podrozdziale 2. działu A. Autorka zastanawia się nad strukturą begińskiego konwentu (jakiego?) na Śląsku. Nie odniosła się do informacji zawartych w świdnickich protokołach, z których wynika, iż konwent ten najprawdopodobniej uczestniczył w kongregacji beginaży zwanej *unio filiarum Udillyndis*<sup>6</sup>, grupującej wraz ze świdnickim także inne konwenty zarówno na Śląsku, w Niemczech, jak i Alzacji (Strasburg). Wiele miejsca poświęca natomiast rozważaniom pozornego dylematu, czy świdnicka magistra miała stałą zastępczynię, czy jedynie na czas swojej nieobecności (s. 88). Według M. Ogórek rola przełożonej „polegała raczej na zachęcaniu i napominaniu niż na surowym egzekwowaniu nakazów i postanowień” (s. 88), jednak beginki winne były swej przełożonej „bezwzględne posłuszeństwo, a w konsekwencji wyrzeczenie się własnej woli” (s. 91). Kilkakrotnie wspomina też o praktykach umartwiania stosowanych przez siostry w świdnickim konwencie, jak również o pozorach pobożności i trosce o wizerunek (s. 89–92), które miały wpływać na hojność mieszczan, co w tym podrozdziale nie całkiem jest na miejscu.

Na początku działu B rozdziału 2: „Waldensi na Śląsku i Morawach do końca XIV wieku”, w części dotyczącej pochodzenia waldensów (s. 96) Autorka stwierdza, że przedstawiciele waldensów „można było spotkać na terenie Niemiec, Austrii, Czech oraz Polski”, jednak następnie błędnie kontynuuje: „wydaje się, że najliczniej i najwcześniej reprezentowani oni byli na Śląsku”. Tym stwierdzeniem przeczy sama sobie, ponieważ wielokrotnie wcześniej stwierdzała co innego, np. na s. 50, 247. Następnie przechodzi do odpowiedzi na pytanie, kiedy waldensi dotarli na Śląsk. Autorka powołuje się na bullę Aleksandra IV z 1257 r., gdzie mowa o bezimiennej sekcie rozprzestrzenionej na pograniczu Czech i Polski, bez przeprowadzenia analizy, o jakich heretyków mogło chodzić w tej bulli i czy odnosi się ona do Śląska. Odwołuje się także do rzekomo „nieznanego do tej pory rękopisu” ołomunieckiego C.O. 69, gdzie pojawiają się mistrzowie waldeńscy Hans i Nicolaus de Polonia. Autorka najwidoczniej nie sięgnęła do artykułu Ernsta Wernera<sup>7</sup> oraz

<sup>5</sup> Por. P. Wiszewski, *Opactwo benedyktynek w Legnicy (1348/1349-1810). Struktura, funkcjonowanie, miejsce w społeczeństwie*, Poznań–Wrocław 2003, s. 35–36, zwł. przyp. 173.

<sup>6</sup> Nazwa ta mogła mieć związek z legendarną założycielką jednego z pierwszych zgromadzeń kobiecych w Leodium, wdową Odilią, por. J. Greven, *Der Ursprung des Beginenwesens*, „Historisches Jahrbuch” 35, 1914, s. 291–298.

<sup>7</sup> E. Werner, *Nachrichten über spätmittelalterliche Ketzler aus tschechoslovakischen Archiven und Bibliotheken, I – Waldensia aus Olmütz*, Leipzig 1963, „Beilage zur Wissenschaftlichen Zeitschrift der Karl-Marx-Universität Leipzig. Gesellschafts- und Sprachwissenschaftliche Reihe” 12, z. 1, s. 234–250, 265.

nie przeczytała umiejscowionych w bibliografii omawianej książki tekstu Petera Billera<sup>8</sup> i fragmentu opracowania mojego autorstwa<sup>9</sup>, gdzie znajduje się informacja, że jest wiele wersji antyheretyckiej kompilacji, w której wymienieni są ci mistrzowie waldeńscy, a podobne wykazy, swoiste „listy gończe”, wydawane przez inkwizytorów Petrusa Zwickera i Martina z Pragi, występują w wielu rękopisach. Nie musiałaby też dokonywać transliteracji fragmentu manuskryptu, podczas której nie ustrzegła się błędów, odczytując „recogniciones” zamiast „rectores”, „Rongala” zamiast „Ungaria” oraz „Vanala” zamiast „Bavaria” (s. 97). Wracając jednak do odpowiedzi na postawione na początku pytanie o pierwszych śląskich waldensów, to Autorka nie udziela na nie odpowiedzi, pyta natomiast retorycznie „na jakiej podstawie możemy wykluczyć, że Johannes i Nicolaus de Polonia nie pochodzili ze Śląska?” (s. 99) — rzeczywiście, nie możemy, podobnie jak nie możemy wykluczyć, że pochodzili z Mało- czy Wielkopolski. To raczej M. Ogórek powinna udowodnić, że stąd pochodzili. Autorka nader często odnosi się do dzieła *Catalogus testium veritatis* Matthiasa Flaciusa, zwanego Illyricusem (1520–1575) — co nie jest samo w sobie błędem — natomiast zastrzeżenia budzi permanentne powtarzanie tych samych cytatów, tak jakby od liczby powtórzeń zależała ich wiarygodność. Por. m.in.: s. 96–100; s. 109, przyp. 259; s. 171, przyp. 74; s. 247. Podrozdział ten kończy się jej stwierdzeniem, że w 1315 r. w Świdnicy „tragicznie splotły się losy Johanna Svenkenfeldta i wyznawców Piotra z Valdo” (s. 101). Schwenkenfeld nie był wówczas inkwizytorem (a Valdo nie był Piotrem).

Podrozdział 2 dotyczy identyfikacji świdnickich heretyków. W świdnickich protokołach pojawia się motyw lucyferiański, który analizowałem w swojej pracy. Do argumentów, jakie przytoczyłem, Autorka się nie odnosi, pisze natomiast o tym, że „inkwizytorzy bardzo często ulegali własnym halucynacjom” (s. 103, 117), że „powszechnie znane było wymuszanie przez inkwizytorów zeznań za pomocą tortur” (s. 113) oraz: „Z początkiem XIX w. istniał obraz heretyka jako sługi szatana, funkcjonujący w oderwaniu od rzeczywistości” (s. 115). W sumie konkluzje te nie wnoszą niczego nowego, stanowią swoistą sztafpę pozwalającą zanegować niewygodne fragmenty źródeł inkwizycyjnych. Na s. 112 omawianej pracy występuje jako jedna z bohaterek świdnickich protokołów „uxor Hertlini de Greci”, czyli żona Hertlina de Greci, z której M. Ogórek uczyniła „panią Hertlins z Grodziska Wielkopolskiego”. Już wydawca tego źródła wyjaśnił, że chodzi o Grodziszczę (niem. Gräditz)<sup>10</sup> — wieś położoną w gminie Świdnica. Jednak Autorka dwukrotnie jeszcze wspomniała żonę Hertlina z Grodziska Wlkp., dwukrotnie w przypisach do tej informacji tłumacząc, że Grodzisk Wlkp. to najpewniej podświdnickie Grodziszczę (por. s. 116 — przyp. 300 i s. 175 — przyp. 105).

<sup>8</sup> P. Biller, *The 1391 Lists of Waldensian „Magistri” Three Further Manuscripts*, w: *The Waldenses, 1170–1530: Between a Religious Order and a Church*, Aldershot–Burlington–Sydney 2001, s. 233–236.

<sup>9</sup> J. Szymański, *Ruchy heretyckie na Śląsku w XIII i XIV wieku*, Katowice 2007, s. 169–170.

<sup>10</sup> A. Patschovsky, *Waldenserverfolgung in Schweidnitz 1315*, „Deutsches Archiv für Erforschung des Mittelalters” 36, 1980, s. 174.

W podrozdziale 7, poświęconym strukturze społecznej śląskich waldensów, znajdują się takie rozważania na temat waldeńskiej elity: „Wydaje się, iż owi «magistri», [- -] «majores», pełnili funkcję bardziej znaczącą, nadrzędną nad «starszymi», którzy także występowali w obrębie waldensów, ale różnica między nimi wydaje się nieznaczną” (s. 125). Natomiast kilka zdań później: „omawiane rękopisy wskazują wyraźnie, iż waldensowscy magistrowie są tożsami ze «starszymi» («seniorami»), a określenia te stosowane są zamiennie”. Na s. 129 wykluczona została możliwość przebywania waldensów na Śląsku po 1315 r., a na s. 246 znajduje się informacja, że „proces z 1315 r. nie mógł być ostatecznym ciosem zadany temu ruchowi”. Powołująca się na rzekomo nowe źródła M. Ogórek nie zna tych powszechnie znanych. Chodzi tu przede wszystkim o relację z procesu uwięzionego i straconego w 1398 r. Stefana, waldensa lub lollarda-wiklifty, opublikowaną w *Katalogu opatów żagańskich*<sup>11</sup>.

Na s. 130–138 zawarty został opis obyczajów śląskich waldensów oraz ich eschatologii. Autorka oparła się na rękopisach z ołomunieckiej Biblioteki Kapitulnej (numery kodeksów są w przypisach omawianej pracy pomieszczone)<sup>12</sup>, gdzie zawarte zostały antyheretyckie kompilacje, których treść odniosła do sytuacji na Śląsku. Te zwane umownie Artykułami sekty waldensów<sup>13</sup> zestawienia, których liczne wersje występują w wielu manuskryptach pochodzących z terenów Czech, Moraw, Śląska, Austrii etc., trudno odnosić do jakiegoś konkretnego terytorium, lecz uczyniła to Autorka, wiążąc je ze Śląskiem, bez uwzględnienia niemałej literatury na ten temat.

W podrozdziale 2 rozdziału 3: „Klasyfikacja innowierców” (s. 163–168) zamieszczone zostały przetłumaczone fragmenty traktatu Petrusa Zwickera *Cum dormirent homines*, który daje ogólny obraz sekty waldensów w perspektywie polemicznej, ale nie pomaga sklasyfikować innowierców na Śląsku. Powinien raczej znaleźć się w części ogólnej poświęconej tej sekcji.

W podrozdziale 4: „Proces przeciwko świdnickim waldensom w 1315 r.” na s. 174 M. Ogórek stwierdza, że „Cały proces został przygotowany w sposób wysoce kompetentny”, co stoi w pewnej sprzeczności z jej twierdzeniem ze s. 170, że „ów trybunał inkwizycyjny był narzędziem wysoce niesprawnym”. Na s. 175–176 wyliczeni zostali przesłuchiwani i oskarżeni w procesie świdnickim, jednak do tych ostatnich zalicza „prawdomównych” rycerzy Kiliana von Haugwitz oraz Syffrida de Garlachsheim, którzy ewidentnie byli tylko świadkami w procesie. Dotyczy to najprawdopodobniej także rzeźnika Hermana Kinsperga oraz ławnika Ludwika de Görnitz<sup>14</sup>. Pomimo informacji źródłowej o spaleniu w 1315 r. z całą

<sup>11</sup> *Catalogus abbatum Saganensium*, w: *Scriptores Rerum Silesiacarum*, t. 1, wyd. G. A. Stenzel, Breslau 1835, s. 251–252. Tłumaczenie zamieścili Roman Heck i Ewa Maleczyńska, *Ruch husycki w Polsce. Wybór tekstów źródłowych (do roku 1454)*, Wrocław 1953, s. 7–9.

<sup>12</sup> Np. co oznacza rękopis o sygnaturze C.C. (bez numeru) z przypisu 371, do którego dalsze odnośniki, albo C.O. z przypisu 387?

<sup>13</sup> Por. J. Szymański, op. cit., s. 166–172; 177–181.

<sup>14</sup> Jeśli chodzi o te tych ostatnie, to podobny błąd popełniłem w swojej pracy; por. ibidem, s. 29.

pewnością 3 (być może 4) osób, M. Ogórek zastanawia się nad wiarygodnością liczby 50 spalonych heretyków, którą podał rocznik lubiąski (s. 178; na s. 50 zaś nie ma wątpliwości co do tej liczby). Skłonna byłaby wręcz uwierzyć Michałowi Irstemu z Ziębic, który 100 lat po tych wydarzeniach świdnickich pisał o 160 straconych heretykach (s. 178, przyp. 121). Wszystko to i tak kasuje stwierdzenie ze s. 246, że w procesie świdnickim „brak był surowego wyroku”. Na s. 179–182 zamieszczone zostało rzekome *interrogatorium*, jakim miał posłużyć się trybunał świdnicki w 1315 r., co miało być kolejnym ważnym odkryciem źródłowym w tej pracy. Ów kwestionariusz znajduje się w praskim rękopisie XV D2 na kartach 193vb–194rb obok protokołów procesu. Autorka pominęła informację wydawcy źródła, że kwestionariusz ten jest fragmentem traktatu franciszkanina Benedykta z Marsylii (zm. 1268) *De summa trinitate et fide catholica* oraz znajduje się w wielu innych kodeksach bibliotek europejskich<sup>15</sup>.

W podrozdziale 5 rozdziału 3: „Echa procesu szczecińskiego jako tło wydarzeń w Świdnicy” M. Ogórek przywołuje akta procesu waldensów, jaki na Pomorzu w latach 1392–1394 prowadził Petrus Zwicker, pisząc: „Biorąc pod uwagę migracje członków tej sekty oraz stosunkowo niewielką odległość między Szczecinem a Świdnicą, akta procesowe ujawniają nowe szczegóły, uzupełniają niejako proces świdnicki” (s. 186). Czy kilkaset kilometrów w XIV w. to odległość bliska, czy nie, pozostawiam sprawą otwartą, natomiast sprzeciw musi budzić utożsamianie sytuacji heterodoksyjnej w okolicach Świdnicy w 1315 r. oraz na Pomorzu pod koniec wieku XIV. Podobnie w zdaniu następnym: „należy wspomnieć także akta ołomunieckie dotyczące działań inkwizycyjnych w Czechach i na Morawach, które także potwierdzają kontakty waldensów z tych terenów z ziemiami śląskimi i stanowią dodatkowe tło rozważań” (s. 186). Otóż żadne „ołomunieckie akta” nie potwierdzają kontaktów morawskich czy czeskich waldensów z ich śląskimi pobratymcami, a założenie takie jest tylko życzeniem Autorki, która zakłada „przenikanie tradycji” i „wzajemne kontakty” (s. 188) waldensów śląskich, morawskich i pomorskich nie przedstawiając na poparcie tej tezy żadnego dowodu.

Na s. 190–195, by uzyskać „pełny historyczny wymiar świdnickiego procesu”, przedstawiony został kwestionariusz, którym posługiwał się inkwizytor Petrus Zwicker. Nie wiadomo, po co ten wzór przesłuchania, skoro Autorka odnalazła już, jak błędnie stwierdziła, taki kwestionariusz we fragmencie traktatu Benedykta z Marsylii ulokowanym obok świdnickich protokołów w praskim rękopisie. Powinna raczej szukać *interrogatoriów* stosowanych przez trybunały biskupie na początku XIV w., a nie przez inkwizytora papieskiego, działającego w całkiem innych uwarunkowaniach politycznych i prawnych w końcu tego stulecia. Następnie M. Ogórek cytuje na 10 stronach (s. 195–205) tłumaczone fragmenty szczecińskich protokołów z lat 1392–1394, konkludując, że „sam proces dowodzi ponad wszelką wątpliwość kontaktów świdnickich i szczecińskich waldensów”, i jest to konkluzja tym bardziej zdumiewająca, że na owych wyselekcjonowanych 10 stronach nie ma ani jednego odniesienia do Śląska! Kolejne strony (205–212) to cyta-

<sup>15</sup> Por. A. Patschovsky, op. cit., s. 142.



ty tłumaczeń fragmentów tzw. listy błędów oraz kwestionariusza Artykułów sekty waldensów zdeponowanych w rękopisie ołomunieckiej Biblioteki Kapitulnej C.O. 69, które częściowo cytowane były na s. 130–135. Autorka z uporem odnosi te fragmenty do Moraw i Śląska, nie zdając sobie sprawy, że to, jak już wspomniałem, antyheretycka kompilacja odnosząca się do specyfiki środkowo-europejskiego waldyzmu<sup>16</sup>.

W podrozdziale 7, poświęconym procesowi beginek w 1332 r., Autorka skoncentrowała uwagę na osobie inkwizytora Schwenkenfelda. Charakterystyczny jest jej stosunek do tej postaci. Otóż na s. 79 napisała, że „słynął on z chęci udowodnienia za wszelką cenę niecznych motywów oskarżonej o herezję grupy [– –]. Jego obiektywizm jest nader wątpliwy”. Na s. 91: „inkwizytor dodatkowo zniekształcił zeznanie, czyniąc go [sic] bardziej pejoratywnym”, natomiast na s. 228: „inkwizytor Jan Svenkenfeldt przeprowadził proces w sposób wiarygodny i rzetelny, nie naginając zeznań na potrzeby postępowania”. Znajduje się tutaj także analiza okoliczności śmierci inkwizytora 6 października 1341 r.<sup>17</sup>, przy której Autorka powołuje się na rzekomo nieznaną opis zdeponowany w Archiwum Watykańskim, co do którego numeracji nie ma pewności, podając numer 13119 albo 13118<sup>18</sup>. Jednak zamieszczony na s. 235 omawianej pracy opis śmierci inkwizytora to nic innego jak fragment *Kroniki książąt polskich*<sup>19</sup>, który wysłany został do Rzymu w okresie starań o beatyfikację Schwenkenfelda i dołączony do akt procesu, który prowadził<sup>20</sup>.

W ostatnich podrozdziałach (8 i 9) poświęconym Czechom i Morawom uderza niekonsekwencja w stosowaniu nazw miejscowych (raz są czeskie, raz niemieckie). Irytujące jest ciągle stosowanie Königgrätz zamiast Hradec Králové (s. 242 nn.).

M. Ogórek do inkwizycji oraz Kościoła ma stosunek jednoznaczny, pisząc o „inkwizycyjnej poźrodze” oraz występkach heretyków „spreparowanych przez inkwizytorów” (s. 9), którzy „siali spustoszenie” (s. 59), oraz o tym, jak to w połowie XIII w. „duchowni skupiali się na obsadzaniu stanowisk kościelnych, budowaniu zamętu przez interdykty, schizmy i walki, lekceważyli obowiązki duszpasterskie” (s. 51). Nie ukrywa też, że jej celem jest próba rehabilitacji heretyków (s. 16). Takie jednoznacznie ideologiczne ustawienie problematyki nie ma wiele wspólnego z prawdą o epoce, obiektywizmem historycznym i cofa nas niebezpiecznie do czasów *Mroków średniowiecza* Józefa Putka.

W książce obok ułomności merytorycznych i logicznych, z których starałem się wymienić te najważniejsze, uderzają także niedociągnięcia formalne. Nie do

<sup>16</sup> Por. J. Szymański, op. cit., s. 178–184.

<sup>17</sup> Na s. 234, przyp. 274 M. Ogórek zarzuca mi, że podważam tę datę śmierci inkwizytora, co jest informacją nieprawdziwą.

<sup>18</sup> Por. s. 14; s. 110, przyp. 266–267; s. 219; s. 220, przyp. 227; s. 225, przyp. 227.

<sup>19</sup> *Kronika książąt polskich*, MPH, t. 3, wyd. Z. Węclewski, Lwów 1878, reprint Warszawa 1961, s. 524–525; *Chronica principum Poloniae*, w: *Scriptores Rerum Silesicarum*, t. 1, s. 136.

<sup>20</sup> R. Loenertz, *Un catalogue d'écrivains et deux catalogues de martyrs dominicains*, „Archivum Fratrum Praedicatorum” 12, 1942, s. 302.

końca można tym obciążać Autorkę, gdyż istnieje coś takiego jak redakcja czy korekta wydawnicza, których najwyraźniej nie uczyniono. W przeciwnym razie opublikowany tekst, zwłaszcza w warstwie przypisów, nie przypominałby brudnopisu, gdzie bez przerwy pojawiają się miejsca niechlujne i błędne, niedopowiedzenia oraz niekonsekwencje<sup>21</sup>. Zaraz na początku uderza brak paginacji w spisie treści. Niedociągnięcia te obciążają zarówno Autorkę, jak i wydawnictwo WAW z Raciborza, które książkę wydało zapewne w pośpiechu, bez należytej staranności. Ta nieszczęsna forma oddaje poziom treści, co w sumie czyni przygnębiające wrażenie.

Podsumowując — Magdalena Ogórek miejscami nie panuje nad tekstem, popełnia błędy tak merytoryczne, jak i formalne, a czasem zdaje się nie mieć elementarnej wiedzy na opisywany temat. Wszystkie rzekomo „nowe źródła”, mające nadać sens tej rozprawie, okazują się znane, tylko zostały błędnie zidentyfikowane, natomiast w rozważaniach nie uwzględniono źródeł ogólnie dostępnych. Wszystkie to skłania do konkluzji, że pracy tej trudno przyznać status kompetentnego opracowania.

Jarosław Szymański  
(Wrocław)

Józef Śliwiński, *Walka o koronę polską. Zjazd monarchów w Krakowie w 1364 roku*, Olsztyn 2012, Centrum Badań Europy Wschodniej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, ss. 144

Książka Józefa Śliwińskiego podejmuje temat jednego z najważniejszych wydarzeń z czasów panowania Kazimierza Wielkiego, jakim był zjazd monarchów w Krakowie, kojarzony w powszechnym odbiorze z ucztą u Wierzyńka. Pojawienie się w Krakowie we wrześniu 1364 r. cesarza rzymskiego, króla węgierskiego, króla Cypru i wielu innych wybitnych osobistości niewątpliwie było wydarzeniem o ogromnym znaczeniu. Dla historyków podstawowym problemem stało się ustalenie, o czym podczas spotkania dyskutowano, a przede wszystkim, co

<sup>21</sup> Por. m.in.: s. 50 (Turynga); s. 52 (13351353); s. 53 (nieliczona); s. 59; s. 68, przyp. 10 (regesty); s. 76–77, przyp. 75–77; s. 96–97, przyp. 188 i 200; s. 103, przyp. 231; s. 158–159; s. 161 (Grzegorz IX powierzył zadania inkwizytorów „medykamentom”. „Medykamenci” także na s. 232); s. 171, przyp. 70, 72, 78, 86; s. 175, przyp. 96, 97, 103 (regesty); s. 189 (Pauen) oraz przyp. 157; s. 212, przyp. 200; s. 217, 219 (źródło?); s. 237 (sobór wiedeński zamiast wiedeński); s. 247 (13...); s. 257, przyp. 371; s. 263 (nonnulli...). Autorka zamieściła identyczny, około półstronicowy fragment zarówno na stronach 177–178, jak i 122–123. Identyczny jest także długi przypis źródłowy nr 236 ze s. 104 oraz przypis 47 ze s. 166, z tym, że w pierwszym przypadku cytata miała pochodzić z rękopisu C.O. 69 ołomunieckiej Biblioteki Kapitulnej, w drugim zaś z rękopisu C.O. 57 tej samej biblioteki — foliacja identyczna, k. 159v. Poza tym nie do końca wiadomo, jakie rękopisy ołomunieckie zostały w omawianej pracy wykorzystane, we wstępie bowiem wymieniony został rękopis C.O. 57 oraz tajemniczy C.C. (s. 14), w bibliografii zaś oprócz rękopisu 57 także C.O. 69 (s. 273).

w tych dyskusjach było najważniejsze. J. Śliwiński jednoznacznie staje na stanowisku, że kluczową sprawą było uregulowanie następstwa tronu w Polsce po Kazimierzu Wielkim, który ciągle nie miał legalnego syna, a na dodatek popadł w poważne problemy małżeńskie. Tej tezie podporządkowane są wszystkie rozważania Autora.

Książka składa się ze wstępu, trzech rozdziałów, podzielonych na szereg podrozdziałów, oraz zakończenia i wykazu skrótów. Pierwszy rozdział dotyczy obrazu krakowskiego kongresu w literaturze przedmiotu oraz w źródłach. Autor krótko charakteryzuje zasób informacji zawarty we wszelkich dostępnych źródłach, łącznie z przekazem Jana Długosza. Tutaj można wyrazić jedynie wątpliwość, czy tytuł podrozdziału „Piętnastowieczny Długosz” jest najszcześniejszy, bo chyba nie było innego kronikarza Jana Długosza, który pisałby w innym stuleciu niż XV? Już w tym rozdziale Autor odrzuca całkowicie znaczenie Kazimierzowskiego arbitrażu w rozstrzygnięciu sporu między Ludwikiem Andegawęńskim a Karolem IV. W konsekwencji wyciąga nieuprawnione, a w każdym razie niczym zupełnie nie poparte wnioski. Mianowicie poświęcając uwagę źródłom dokumentowym, odnoszącym się do zjazdu krakowskiego, zaznacza (s. 38), że skoro Ludwik Węgierski na zjeździe w Krakowie potwierdził wobec cesarza Karola postanowienia pokoju zawartego między nimi w Brnie, to pewnie cesarz zrobił to samo względem Ludwika w odniesieniu do jego potencjalnego przyszłego dziedziczenia polskiego tronu. W tym miejscu należy przytoczyć spory fragment dokumentu Ludwika Węgierskiego z dnia 22 września 1364 r., a następnie zestawzić go z wnioskami J. Śliwińskiego:

nos Lodovicus [– –] ad vocationem et invitationem serenissimi principis domini Kazimeri eadem gracia regis Polonie [– –] Cracoviam in domum suam accedentes, pacem concordiam, pronunciacionem, quam alias idem dominus rex Polonie unacum Bolkone duce Swidnicensis [– –] inter invictissimum principem dominum Karolum Romanorum imperatorem [– –] ac Wenczlaum eius primogenitum, regem Bohemie [– –] ab una [– –] et nos parte ab altera, super universis displicentis et discensionibus hincinde inter nos exortis et quomodolibet verbis aut factis suscitatis tractaverunt, pronunciiaverunt et arbitrati sunt, approbamus, ratificamus et confirmamus<sup>1</sup>.

Jak widać na podstawie powyższego cytatu (pominąłem tu imiona pozostałych uczestników sporu), jeżeli w dokumencie Ludwika jest odniesienie do czegoś, to na pewno nie do polityki dynastycznej, ale właśnie do arbitrażu, mającego istotny wpływ na zawarcie pokoju między cesarzem i królem Węgier. Tymczasem J. Śliwiński tak komentuje zacytowane źródło: „Z omawianego tu dokumentu z 22 września 1364 r. można wnosić, że przedmiotem narad i czynności monarchów w Krakowie we wrześniu 1364 r. również były niewątpliwie sprawy sukcesyjne. Dyplom ten wystawił król Węgier, a nie Kazimierz Wielki, co zrozumiałe, gdyż dotyczył on układu brneńskiego. Jego treść wyklucza przypisywaną w literaturze

<sup>1</sup> S. Szczur, *Krakowski zjazd monarchów w 1364 r.*, RH 64, 1998, s. 56.

królowi Polski rolę jakoby arbitra we wrześniu 1364 r.” (s. 38). W konsekwencji Autor odrzucił stwierdzenia Stanisława Szczura, że zjazd krakowski był ostatnim akordem kończącym kilkuletni spór między wspomnianymi wyżej monarchami. Zaraz potem J. Śliwiński podnosi sprawę dokumentu datowanego na dzień 27 października 1364 r., który jest pisemnym zobowiązaniem Ludwika do uznania praw do tronu w Krakowie potencjalnego legalnego męskiego potomka króla Polski. Dla Autora to bezwzględnie rozstrzygający dowód na to, że na całym zjeździe nie rozprawiano o niczym, jak tylko o następstwie tronu w Polsce. Zaznacza, że nie mają racji Jerzy Wyrozumski i S. Szczur, którzy uznali, że dokument Ludwika z 27 września został wystawiony niejako przy okazji zjazdu, ale w sprawie, która nie stanowiła głównego przedmiotu obradujących monarchów. Problem w tym, że poza stwierdzeniem, że wyżej wymienieni badacze nie mają racji, J. Śliwiński nie podał żadnego argumentu na potwierdzenie swoich tez.

Następnie Autor omawia obraz zjazdu w literaturze przedmiotu. Zdecydowanie odcina się on od interpretacji spotkania monarchów w Krakowie jako manifestacji prestiżu Królestwa Polskiego (s. 44–45). Jednocześnie zaraz potem pisze, że tak właśnie przedstawiła to wydarzenie Kronika Katedralna Krakowska. A przecież to jedno z niewielu źródeł bliskich chronologicznie temu wydarzeniu. Tymczasem w drugiej części książki (s. 112–113) podkreśla, że wystawność krakowskiego zjazdu była niewątpliwie manifestacją chwały królestwa. W opisie literatury dotyczącej zjazdu Autor skupia się przede wszystkim na pracach dwóch badaczy: Romana Grodeckiego i S. Szczura. Streszczanie poglądów poprzedników przeplata swoimi komentarzami, w których bez jakichkolwiek źródłowych analiz podważa ustalenia, bądź to Grodeckiego, bądź to Szczura, np. komentując hipotezę R. Grodeckiego, że celem zjazdu miał być zbiorowy pakt o nieagresji w Europie Środkowej (s. 50–51). Prowadzi to do pojawienia się stwierdzeń, których nie powinno się stawiać bez źródłowego uzasadnienia: „Karol IV mógł przecież nie zgodzić się i, przeciwdziałając, zagrozić sukcesji andegaweńskiej w Polsce” (s. 51). Brak przy tym zdaniu jakiegokolwiek przypisu i uzasadnienia tej dość jednoznacznej tezy. Można wręcz odnieść wrażenie, że dla Autora jest ona tak oczywista, iż dziwi go fakt, że nikt tego dotychczas nie dostrzegł. Najlepiej takie nastawienie Autora oddaje jego komentarz do artykułu S. Szczura: „opracowanie zawiera także rozmaite trafne i godne uwagi spostrzeżenia oraz dobrą publikację dokumentów z 22 i 27 IX 1364 r., co kosztowało sporo pracy; aż dziwne, że historyk ten nie potrafił ostatecznie wyciągnąć właściwych wniosków” (s. 55). Tezy J. Śliwińskiego to nieznośny sprzeciwu pogląd, sprowadzający się w gruncie rzeczy do ciągłego powtarzania, że na krakowskim zjeździe monarchów rozmawiano o następstwie tronu w Polsce. Konflikt zaś między Karolem IV a Ludwikiem Andegaweńskim i Kazimierzowska misja arbitrażowa, w kontekście zjazdu, mają drugorzędne znaczenie. Zamykając część poświęconą przeglądowi literatury i źródeł, umieścił J. Śliwiński podrozdział zatytułowany „Polityka dynastyczna (małżeńska) główną przyczyną kongresu krakowskiego. Walka o następstwo tronu w Polsce po Kazimierzu Wielkim” (s. 57–63). Tu znowu Autor powraca do kwestionowania wszelkich poglądów,

które inaczej ten zjazd interpretują. Powołuje się także na prace niemieckich i czeskich badaczy, którzy podkreślali dążenie do zwiększania dynastycznych wpływów przez Luksemburgów, ale nigdzie przecież nie pisali w takim kontekście o zjeździe krakowskim. Stawia tutaj mocno kolejną swoją tezę, że małżeństwo Karola IV z Elżbietą, wnuczką Kazimierza Wielkiego, córką księcia szczecińskiego Bogusława, było zyskaniem przez cesarza praw do polskiej korony, po bezpotomnej śmierci króla Kazimierza. Jedynym na to „dowodem” dla J. Śliwińskiego jest wyrażona przez niego opinia, że Kazimierz Jasiński dopuszczał możliwość dziedziczenia tronu w Polsce przez kobiety. Nie dowie się jednak czytelnik ani gdzie K. Jasiński wyraził taką opinię, ani w jakim kontekście to napisał.

Po tym rozdziale, mającym, w zamierzeniu Autora, mieć charakter wprowadzenia w zagadnienie, następują dwa zasadnicze rozdziały książki. Problem w tym, że Autor już właściwie wyłożył swoją interpretację krakowskiego spotkania monarchów. Kolejne dwa rozdziały są tylko nieustannym wskazywaniem, bez przeprowadzenia źródłowych analiz, że wszystko, co istotne w polityce Królestwa Polskiego czasów Kazimierza Wielkiego, dotyczyło polityki dynastycznej. Niejednokrotnie Autor porusza wątki, które w ogóle nie mają związku ze zjazdem krakowskim, np. przywołał sprawę relacji polsko-czeskich w związku ze Śląskiem i Mazowszem, nawiązał do kazimierzowskiej ekspansji na Ruś, przyjaznych kontaktów króla polskiego z Karolem IV, a także wspomniał o poparciu Luksemburgów wobec starań Andegawenów o polską koronę i wreszcie o porozumieniu polsko-czeskim z 1335 r., aby zakończyć wywód informacją o hołdzie lennym księcia ziębeckiego i świdnickiego wobec króla czeskiego. Znajdujemy także opinię o podobno prowadzonych rokowaniach między królem czeskim a Kazimierzem Wielkim w sprawie ślubu bratanicy księcia świdnickiego z królem czeskim w 1353 r. Wreszcie pojawia się ekskurs o powiązaniach księcia kujawskiego Władysława Białego ze śląskimi Piastami oraz — przez siostrę Elżbietę — z Andegawenami (była teściową Ludwika Węgierskiego). J. Śliwiński wspomina też o walce Kazimierza Wielkiego o utrzymanie diecezji wrocławskiej w gnieźnieńskiej prowincji kościelnej. Tutaj warto zwrócić uwagę na poważną nieścisłość. Otóż wspominając o rzekomych rokowaniach między królem polskim a czeskim w sprawie małżeństwa tego drugiego z bratanicą księcia Bolka świdnickiego (s. 67–68), Autor powołuje się obszernie na wywody S. Szczura (*Praski zjazd Kazimierza Wielkiego z cesarzem w 1356 roku*, w: *Polska i jej sąsiedzi w późnym średniowieczu*, red. K. Ożóg, S. Szczur, Kraków 2000, s. 81–122). Tymczasem autor ten nigdzie nie wspomina o rozmowach wspomnianych monarchów, podczas których król polski miałby godzić się na takie małżeństwo króla czeskiego (z jakiego powodu miałby go Karol pytać?). Ponadto w tym samym przypisie J. Śliwiński powołuje się na pracę Leontija Wojtowycza (*Walka o spadek po Romanowiczach a król polski Kazimierz III Wielki*, w: *Kazimierz Wielki i jego państwo*, red. J. Maciejewski, T. Nowakowski, Bydgoszcz 2011, s. 47–65), gdzie na podanych przez Autora stronach (59–60) w ogóle nie ma mowy o relacjach polsko-czeskich tego czasu.

Osobno skupił się J. Śliwiński na znaczeniu stronnictwa proluksemburskiego w otoczeniu Kazimierza Wielkiego. Autor prezentuje pogląd o istnieniu dwóch bardzo wyrazistych stronnictw politycznych w łonie polskich elit rycerskich, nawiązując, choć w przypisach tego nie widać zbyt wyraźnie, do koncepcji wypracowanych przez Tomasza Nowakowskiego i Janusza Kurtykę. Niestety przy okazji cytuje także moją pracę (A. Marzec, *Urzednicy malopolscy w otoczeniu Wladyslawa Lokietka i Kazimierza Wielkiego*, Kraków 2006), całkowicie wypaczając jej treść. Powołał się bowiem na te fragmenty książki, które nie omawiają sprawy stronnictw. Czyni tak zresztą także w dalszej części swojej pracy. Wolałbym, żeby ze mną polemizował, a nie nieprawdziwie przedstawiał wnioski, które zawarłem w moich pracach.

Po opisie roli stronnictwa proluksemburskiego Autor przystąpił do opisu konfliktu między Luksemburgami a Andegawenami i Habsburgami na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wieku XIV. Cały wywód jest podporządkowany jednej tezie: rola króla polskiego jako arbitra w sporze nie wynikała z jego związków z Ludwikiem Andegaweńskim. Został nim Kazimierz – według Autora – dlatego, że wydał swą wnuczkę, córkę księcia pomorskiego Bogusława, za cesarza Karola. Wszystko to czyni Autor, aby kolejny raz podważyć rangę arbitrażu króla polskiego i księcia świdnickiego Bolka, sprowadzając jego znaczenie do drugorzędnego i pomocniczego, przede wszystkim dla cesarza. Głównego godzącego strony widzi w legacie papieskim Piotrze Corsinim. Tyle tylko, że na następnej stronie opisuje historię, która temu zdecydowanie przeczy. Skoro Kazimierz nie był arbitrem ze strony Ludwika w tymże sporze, to dlaczego do niego zwracał się cesarz, aby z racji swych obowiązków arbitra powściągnął Rudolfa Habsburga, który najechał patriarchat Akwilei? Dla J. Śliwińskiego to dowód na to, że Kazimierz był „świeckim pośrednikiem (mediatorem), który odegrałby rolę pretekstu do zawarcia tego układu pokojowego” (s. 79). Nie można ot tak ignorować przedstawionych przez S. Szczura, (idem, op. cit., s. 44–45) zasad działania arbitrażu w stosunkach międzynarodowych czternastowiecznej Europy oraz treści dokumentu z 22 września 1364 r., czy też pokoju z Brna z lutego 1364 r. Kwitowanie ich gołosłownymi stwierdzeniami, że gdy strony sporu nie chciały akceptować wyroku, to tego zwyczajnie nie robiły, nie jest żadnym wnioskiem o charakterze naukowym. Innym przewijającym się w tej części książki wątkiem jest sprawa niechęci polskiego króla do zbrojnego zaangażowania w konflikt. Dla Autora wnioski z tego płynię jednoznaczny: król Polski był przede wszystkim zainteresowany zbliżeniem z Karolem IV, bo myślał tylko i wyłącznie o sprawie następstwa tronu po sobie. Warto tylko zauważyć, że o gotowości do militarnego zaangażowania Kazimierza zwyczajnie nie mamy wiadomości niemal żadnych, więc tak naprawdę nie wiemy, czy był do tego zaangażowany gotów, czy nie. Trudno więc odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie chciał się angażować.

Rozważania poświęcone małżeństwu Elżbiety, córki księcia pomorskiego Bogusława, z cesarzem Karolem IV są kontynuacją przewodniej myśli wszystkich analiz J. Śliwińskiego, a mianowicie tej, że dążeniem Kazimierza Wielkiego

było otwarcie drogi do polskiej korony Luksemburgom. A przynajmniej jednym z celów królewskiej polityki, sterowanej przez stronnictwo proluksemburskie. Odrzucając stwierdzenia S. Szczura i T. Nowakowskiego, że małżeństwo wnuczki króla Polski z cesarzem było politycznym błędem, nie zauważa, że przez ten związek Kazimierz nic nie zyskał, bo cesarz nie poparł jego starań w Awinionie o unieważnienie związku z Adelajdą heską. Jednak co w tym rozdziale najbardziej zdumiewa, to przepisanie niemal słowo w słowo całego akapitu z biografii Kazimierza Wielkiego pióra J. Wyrozumskiego (s. 92–93; J. Wyrozumski, *Kazimierz Wielki*, Wrocław 1982, s. 132), zaczynającego się od: „Małżeństwo Karola IV...”. Autor zmienił jedno słowo, przypis zaś odnoszący się do książki Wyrozumskiego umieścił w środku cytowanego fragmentu, co sugeruje, że jest to odsyłacz jedynie do informacji o dacie śmierci córki Karola IV i żony Ludwika Andegaweńskiego Małgorzaty. Nie zaznaczył w ogóle, że ta część jego książki jest cytatem.

Potem znowu Autor wraca do arbitrażu króla Kazimierza i księcia Bolka świdnickiego i po raz kolejny kwestionuje jego znaczenie. Opiera się przy tym m.in. na przekazie Jana Długosza, który nie napisał o arbitrach, tylko o roli papieskiego legata. Niestety kulminacją opinii Autora w tym podrozdziale jest wywiedzenie tezy o tym, że podczas pokoju brneńskiego w lutym 1364 r. zdecydowano, iż po Andegawenach tron polski przypadnie Luksemburgom. Dla tego badacza jest to oczywiste, choć jak zaznacza, dokumenty o tym nie piszą, ale w domyśle to z nich wynika (s. 95). Po kolejnym rozwinięciu kwestii roli króla duńskiego w opisywanych wydarzeniach J. Śliwiński przechodzi do ostatniego i kluczowego rozdziału. Niestety jest to kolejne powtórzenie treści zawartej w pierwszej części książki. Do tego stopnia, że Autor po raz wtóry omówił źródła wspominające o zjeździe, opowiedział o nieistotnym znaczeniu udziału w całym wydarzeniu króla Cypru, o nieobecności w Krakowie króla Danii, zrekonstruował listę uczestników kongresu. Wreszcie Autor skonstatował, że skoro w zjeździe brali udział członkowie jednej, w gruncie rzeczy, wielkiej rodziny, bo wszyscy — poza królem Cypru — byli ze sobą spokrewnieni lub spowinowaceni, to o sprawach rodzinno-sukcesyjnych musieli rozmawiać. Następuje po tym kolejny (s. 118–121) powrót do tezy o dynastycznych rozmowach. W swych wywodach Autor zaczął się już nieco gubić. Podkreślając konieczność uregulowania przez króla Polski spraw następstwa tronu krakowskiego, wyróżnił trzy podstawowe cele kongresu: 1) konieczność unieważnienia ślubu Kazimierza z Adelajdą heską; 2) zawarcie kolejnego legalnego ślubu króla Polski; 3) uregulowanie sukcesji polskiej na nowo. Niezałatwienie tych spraw mogło „grozić wojną domową między dwoma rywalizującymi stronnictwami w Królestwie Polskim, popartymi przez Czechów i Węgrów” (s. 124). Uzasadnienia tak sformułowanej, dość śmiałej, tezy próżno szukać w książce. J. Śliwiński chyba nie zauważył, że sam zaczął sobie przeczyć. Z jednej strony ciągle podkreślał, że ewentualne małżeństwo Kazimierza z córką księcia Henryka Żelaznego było po myśli polityki dynastycznej Karola IV (s. 124). Ale już kawałek dalej (s. 126) napisał, że Ludwik Andegaweński mógł spokojnie myśleć o następstwie tronu w Polsce, bo szansa na legalizację związku króla Polski z księżniczką śląską była nikła, wobec

sprzeciwu papieża i braku poparcia ze strony cesarza. Następnie Autor podkreślił (s. 133–134), że faktyczny brak poparcia ze strony królów Węgier i Czech dla starań małżeńskich króla Kazimierza w Awinionie, poskutkowało odwetem polskiego monarchy w postaci mianowania na urzędy przedstawicieli stronnictwa andegaweńskiego. Temu krokowi przypisuje on fakt objęcia tronu polskiego w 1370 r. przez Ludwika Węgierskiego.

Książka Józefa Śliwińskiego porusza na pewno kwestie bardzo istotne dla zrozumienia realiów politycznych Królestwa Polskiego w wieku XIV. Niestety nie pomaga w lepszym poznaniu dziejów Polski czasów Kazimierza Wielkiego.

Andrzej Marzec  
(Kraków)

Ewa Dubas-Urwanowicz, *O nowy kształt Rzeczypospolitej. Kryzys polityczny w państwie w latach 1576–1586*, Warszawa 2013, DiG, ss. 248

O nowy kształt Rzeczypospolitej? Co chciano zmienić, a co musiano, bo Rzeczpospolita Obojga Narodów w jej kształcie instytucjonalnym dopiero się tworzyła? W chwili elekcji Stefana Batorego miało od zjednoczenia się w jeden organizm Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego mniej niż 7 lat. Często ogólne sformułowania aktu unii polsko-litewskiej wymuszały wypełnianie ich w toku działania konkretną treścią, a były i sprawy, w których połączone unią państwa nie mogły się porozumieć. Dość wspomnieć kwestię podległości Inflant, kompetencji ministrów czy form pomocy zbrojnej. Od opracowania artykułów henrykowskich, które zarysowywały zasady funkcjonowania wspólnego państwa, upłynęły 3 lata. Obradowały dwa sejmy zwyczajne, z których żaden nie był zwołany po śmierci Zygmunta Augusta. Autorka, choć wspomina o niedawnym zawarciu unii, to pomija kwestię codziennego funkcjonowania powstałego w jej wyniku państwa polsko-litewskiego.

Przyszły kształt państwa zależał, zdaniem Autorki, od czterech sił politycznych. Mianowicie, w zapisanej kolejności, króla Stefana Batorego, szlachty, Jana Zamoyskiego i Zborowskich (s. 7). Wszelkie podziały można uzasadniać, dla aprobaty dokonanego przez uczoną należałoby zyskać dowód, że król i jego pieczętarz mieli różne wizje Rzeczypospolitej, że stanowisko, jakie zajmowali w kwestiach polityki wewnętrznej i zagranicznej, było, a choćby bywało, wyraźnie odrębne. A także, że Zborowscy stali się tak silni, iż zasługują na wyodrębnienie.

Autorka, przyglądając się „celom, metodom i środkom działania” wyróżnionych sił politycznych, konkluduje, że król chciał wzmocnienia swej władzy. Środkiem do tego było osłabianie sejmu poprzez próby ograniczenia zakresu omawianych spraw, odwoływanie się w sprawie podatków do sejmików, wreszcie zwoływanie konwokacji senatorskich, na których zyskiwał aprobatę swych decyzji. Oznaczało to zmianę zasad funkcjonowania Rzeczypospolitej i, zdaniem Ewy Dubas-Urwanowicz, stało się ważnym źródłem kryzysu, w jaki Rzeczpospolita miała opaść pod rządami Stefana Batorego (s. 7, s. 229). Dla recenzenta nie



jest jasne, na czym polegał ów kryzys, skoro państwo odniosło w owym czasie jedno z ważniejszych zwycięstw w swych dziejach, podatki, choć niechętnie, były płacone, działały urzędy i sądy. Owszem, trwał spór króla z poddanymi, ale tak bywało i wcześniej, i później. W sumie, jeśli to był kryzys, to taki, jaki stanowił wręcz immanentną cechę Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Trudno jednak nie uznać słuszności winienia króla za ów kryzys (według terminologii Autorki), czy tylko za nasilenie nastrojów opozycyjnych (jak uważa recenzent), skoro ograniczanie roli sejmu nie tylko oznaczało pozbawianie szlachty wpływu na decyzje odnoszące się niej i jej państwa, ale także przekreślało możliwość zyskania potwierdzenia w formie konstytucji decyzji odnoszących się do instytucji, rodów i poszczególnych osób. Nie mogło zyskać aprobaty przekazanie kurateli nad chorym księciem w Prusach oraz ustępstwa wobec Gdańska (s. 43). To Autorka uważa za niewybaczalny błąd króla i J. Zamoyskiego. Pisze, że w zamian za to otrzymali pokaźne kwoty pieniędzy, choć przyznaje, że były potrzebne na wojnę z Moskwą. W wypadku króla, zapewne ma rację, choć nim działania zostaną podjęte, miną dwa lata. W każdym razie, prowokuje to do generalnego pytania, które z decyzji Stefana Batorego wynikały z celów, jakie sobie stawiał, a co było działaniem doraźnym.

Słusznie E. Dubas-Urwanowicz odnotowuje przemiany w sądownictwie, a dokładnie, utworzenie Trybunałów. Można jednak i należy upomnieć się o przedstawienie reformy wojska i szkolnictwa, o utworzenie instytucji piechoty wybranieckiej, przebrojenie husarii, może zmiany w organizacji Kozaczyzny. Szkolnictwo zaś to powstanie drugiej w Rzeczypospolitej Obojga Narodów szkoły wyższej, czyli Akademii w Wilnie.

O celach, jakie król stawiał sobie w polityce zagranicznej, Autorka pisze, że Stefan Batory myślał „o wzmocnieniu swej własnej pozycji w tej części Europy” (s. 75 i ponownie s. 166). To bowiem sprzyjałoby pokonaniu Turcji, wyzwoleniu Siedmiogrodu (z zależności lennej od Turcji) oraz królestwa węgierskiego (spod władzy Habsburgów). Dodać można — i części ziem węgierskich wcielonej w granice państwa tureckiego. Chciał tego dokonać „przez aktywną politykę wschodnią prowadzoną we współpracy z papieżem” (s. 166) oraz wspomniane wzmocnienie swej władzy w Rzeczypospolitej. Aktywna polityka to zapewne dążenie do wojny z Moskwą, ale o tym nadal wiadomo niewiele, a o współpracy z papieżem jeszcze mniej. Pewne jest, co Autorka zauważa, że król był żywo zainteresowany Inflantami. Jak przypuszcza recenzent, wskazując na osłaniające prowincję kierunki działań przeciw Moskwie oraz zaostrenie aż po groźbę wojny sporu terytorialnego ze Szwecją, dlatego, że zmierzał do przekształcenia ich w księstwo najpierw swoje, a potem w ogóle Batorych.

O Janie Zamoyskim wiadomo, że skutecznie dążył do powiększenia majątku i zwiększenia potęgi politycznej, że chciał być pierwszym po królu, a nawet obok króla, ale że, to już zdaniem Autorki, „nie miał samodzielnej koncepcji funkcjonowania państwa” (s. 197). Owszem, utożsamiał się, ale tylko „do pewnego momentu, z programem królewskim”. Jeśli pamiętać, że niemal równocześnie E. Dubas-Urwanowicz pisze, iż „cele tego programu różniły [-] obu polityków”, należało

oczekiwać wskazania, jakie i od kiedy (s. 197). Tymczasem zamieszczona na tej-że stronie informacja mówi o różnicach między królem i kanclerzem a Stanisławem Karnkowskim, biskupem kujawskim, a od 1581 r. arcybiskupem gnieźnieńskim. Owszem, wskazanie, że na początku roku 1585 kanclerz popadł w niełaskę, byłoby jeszcze ważniejsze, gdyby towarzyszyła temu informacja o przyczynach, choćby i nie źródłowa, bo na tę liczyć trudno, ale o zmianach (jeśli były...) w postępowaniu króla i jego ministra.

Jeśli nie wydaje się przekonujące traktowanie z osobna króla i kanclerza, to jeszcze poważniejszą wątpliwość budzi wyodrębnienie Zborowskich. Nie dlatego, że — jak czytamy — ich cele czy programy sprowadzały się do odzyskania dawnej świetności. Troska o własny ród, przekonanie, że co nie jest dobre dla niego, jest szkodliwe dla ogółu, potrafiły wstrząsać państwami. Wątpliwość, jaką budzi uznanie Zborowskich za jedną z czterech sił decydujących o przemianach Rzeczypospolitej, wynika z przekonania recenzenta, że Autorka przeceniła ich możliwości wpływania na bieg wydarzeń. Co bowiem z tego, czego dokonano w Rzeczypospolitej, albo, co może ważniejsze, czego nie dokonano, wiąże się z ich działaniami?

Interesująca jest przedstawiona poprzez stosowaną terminologię struktura ostatniej (ale drugiej w kolejności wymienienia) siły politycznej (s. 14). Wobec szlachty, jako kategorii prawnej, Autorka używa terminu: stan szlachecki. Część, która nie należąc „do wyższych warstw stanu szlacheckiego”, miała jednorodny program polityczny, to szlachta i rycerstwo. Czy znaczy to, że tylko oni poparli elekcję Stefana Batorego, i to dlatego, że wiązali z nim nadzieję „na współpracę i kontynuację reform, które rozpoczęły się w okresie panowania Zygmunta Augusta” (s. 8)? Jakich? W pracy znalazły się raczej poszczególne postulaty niż jednorodny program. Wymienione jest „zachowanie struktury sejmu i kompetencji wszystkich jego elementów” (s. 92), co zresztą wskazuje nie na chęć nadania Rzeczypospolitej nowego kształtu, lecz zachowania jej niezmienności. W dodatku Autorka nie pokazała układu sił nawet na ziemiach Korony, a cóż dopiero Litwy i Prus Królewskich. Bodajże nie ma też nic o tym, czy i jak owa szlachta komunikowała się ze sobą poza sejmami.

Zaskakuje wynikające z wyodrębnienia szlachty twierdzenie o braku programu w warstwach wyższych społeczeństwa szlacheckiego. Czy znaczy to, że były bierne, że tylko popierały króla, Zamoyskiego bądź Zborowskich? Ile owych warstw było? Kto i gdzie, na jakich ziemiach, wchodził w ich skład?

Wreszcie, za jakim programem opowiadały się „elity szlacheckie” (raz jeszcze liczba mnoga), który to termin Autorka zastrzega „dla najaktywniejszej części szlachty”. I znowu, gdzie i jak się uwidaczały oraz kto wchodził w ich skład? Dla zaaprobowania (lub nie...) przyjętej terminologii, a poprzez nią układu sił politycznych w Rzeczypospolitej, konieczna byłaby analiza składu poszczególnych grup i ich lokalizacja.

Senatorzy i magnaci to, zdaniem Autorki, tylko aktorzy włączeni do „sporów między stronami”, którzy nie tworzyli „grup politycznych mających nakreślony, jednorodny program polityczny” (s. 7, przyp. 1). Czy jednak próby „przejęcia władzy przez grupę elit senatorskich”, o czym Autorka wspomina, (s. 78), a dodać

można – choćby treść artykułów henrykowskich, nie świadczą o istnieniu grup, a próby nie są odbiciem poglądu na preferowany przez senat i możnych kształt Rzeczypospolitej Obojga Narodów? Marginesowo można zauważyć, że nieco dalej Autorka pisze, iż magnateria „dopiero się tworzy” (s. 14). Trudno zaprzeczyć, że potocznie używa się w odniesieniu do wieku XVI terminu możnowładztwo, wieku XVII – magnateria, dla czasów późniejszych – arystokracja. Czy jednak wskazując na dokonującą się przemianę, nie należało pokusić się o wskazanie, na czym ona polega?

Wreszcie pytanie podstawowe: czy praca zmienia obraz epoki Batoriańskiej? Z pewnością przeciwstawia się literaturze bezkrytycznej wobec króla i jego kancelarza. Zawiera wiele tez, ale, niestety, znacznie mniej ich uzasadnień. Nie pokazuje, jak funkcjonowała Rzeczpospolita Obojga Narodów w chwili elekcji oraz śmierci króla. Kto konkretnie był autorem zmian, jak się dokonały, a przede wszystkim, co przeminęło wraz z królem, co trwało. Całość pobudza przeciw do dyskusji.

Na koniec trzeba podać, że Autorka przeprowadziła kwerendę w archiwach i bibliotekach polskich, austriackich (Haus- Hof und Staatsarchiv), litewskich (Lietuvos mokslų akademija, w bibliografii wymienia jednak tylko zbiór Michała Bałińskiego) i ukraińskich (Lwowska nacjonalna naukowa biblioteka Ukrajiny).

Henryk Wisner  
(Warszawa)

Igor Piotrowski, *Pieśń i moc. Pieśni codzienne Franciszka Karpińskiego w kulturze polskiej XIX i XX wieku*, Warszawa 2012, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, ss. 377, *Communicare. Historia i Kultura*

Znalezienie oryginalnego punktu widzenia sprawia, że tematy uznane za dobrze opracowane i zamknięte nabierają nowych barw i odzyskują swój badawczy potencjał. Dokonał tego Igor Piotrowski w recenzowanej monografii, będącej rozwiniętą wersją dysertacji doktorskiej. Autor, asystent w Instytucie Kultury Polskiej na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, wziął na warsztat dwa utwory Franciszka Karpińskiego: *Kiedy ranne wstają zorze* i *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Interesowały go sposoby ich obecności w polskiej kulturze. Okazało się, że są one ciekawym, choć niewielkim, pryzmatem, przez który można w odkrywczy sposób spojrzeć na „wielkie wydarzenia” polskiej historii, tj. zaborcy, II wojnę światową i politykę władz komunistycznych, a także na przemiany współczesnego społeczeństwa (vide spór o dzwony kościelne w 2007 r. na rzeszowskim osiedlu Zalesie; s. 251). Piotrowski słusznie koncentruje się jednak na swoim właściwym temacie; buduje pryzmat, a to czytelnik sam musi/ może odpowiedzieć sobie, co to oznacza dla oświecanych tym światłem tematów.

Praca składa się z pięciu rozdziałów, wstępu i zakończenia (a także bibliografii i indeksu osób). We wstępie („Pieśń i moc”) Piotrowski tłumaczy wybór akurat tych dwu utworów Karpińskiego. *Pieśń poranna* i *Pieśń wieczorna* funkcjonują z reguły jako nierozłączna para. Opublikowane zostały jako pierwsza i ostatnia

pozycja w zbiorze *Pieśni nabożne* z 1792 r. i jako jedyne zyskały nieprzemijającą popularność. Określenie „pieśni codzienne” związane jest z podziałem pieśni nabożnych na te o tematyce ogólnej (codzienne) i związane z określonymi okolicznościami (przygodne), np. ślubem lub pogrzebem. We wstępie Piotrowski dzieli źródła, z których korzysta, na trzy kategorie: 1) dokumenty urzędowe i osobiste, 2) śpiewniki, 3) literaturę piękną. Zdaje sobie przy tym sprawę z oczywistej komplikacji, polegającej na tym, że część źródeł należy do dwu lub nawet trzech kategorii. Jest to jednak skutek chyba każdej abstrakcyjnej i arbitralnej dystynkcji. W moim przekonaniu należy czerpać korzyści, jakie taka dystynkcja daje, nie przejmując się nadmiernie jej ograniczeniami. Ważne dla struktury książki jest rozróżnienie obiegów: kościelnego, folklorystycznego i publicznego. Rozdziały 2, 3 i 4 są im właśnie poświęcone.

W tytule rozdziału 1 „Pieśni anonimowe autorstwa Franciszka Karpińskiego” zawarty jest paradoks, dalek wyjaśniony. Jak utwory konkretnego autora mogą zarazem być anonimowe? Wynika to z tradycji, z której utwory te wyrastają, oraz ich popularności. Piotrowski przybliży najpierw pieśń jako gatunek. Korzeni szuka w tradycji kancjonałów religijnych, których początek wiąże się z Marcinem Lutrem, oraz tradycji psalmicznej, zwłaszcza w tłumaczeniu Jana Kochanowskiego. Pewną rolę odegrał brewiarz, zwłaszcza liturgia godzin, w czasie których modlono się indywidualnie lub grupowo w określony sposób. Piotrowski wymienia także motywy hejnałowe wśród inspiracji Karpińskiego. Hejnały budziły mieszkańców, ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Autor wskazuje na silne religijne akcenty tych utworów. *Hejnał świta na ranne powstanie* Mikołaja Reja jest pierwszym tego świadectwem w polskiej literaturze: utwór ten został włączony do kancjonału z pieśniami religijnymi. Piotrowski identyfikuje szereg elementów *Kiedy ranne* wspólnych z hejnałami religijnymi (a także dworskimi). Nazywa wręcz *Pieśń poranną* „podsumowaniem i syntezą gatunku” (s. 63). Mniej oczywiste jest powiązanie *Pieśni wieczornej* z hejnałami, jakie dostrzega Piotrowski. W tym samym rozdziale nakreśla oświeceniowy kontekst powstania utworów Karpińskiego. Poetę do napisania *Pieśni codziennych* zainspirowały sentymentalne fascynacje ludem i pragnienie krzewienia w prostym ludzie zdrowej pobożności i postaw patriotycznych. „Kiedy wieśniak przy pracy, rzemieślnik przy warsztacie i w domu dziecię pod oczyma matki o cnotach potrzebnych człowiekowi i towarzystwu śpiewać będą, niepodobna, ażeby głos ten powszechny do uszu przychodząc i serca im zaraz nie naprawiał” (s. 35) — pisał Karpiński w liście do króla Stanisława Augusta o swoim zbiorze. *Pieśni*, którym udało się zyskać popularność, jaką zaplanował dla nich poeta, zaczynały „działać”. Powszechne ich wykonywanie spowodowało oderwanie od autora. Ludzie nie potrzebowali znać autora słów, by je śpiewać. W ten sposób nastąpiła ich anonimizacja, a wraz z nią pojawił się paradoks zawarty w tytule rozdziału.

Rozdział 2 „Pieśni jako wehikuł. Śpiewanie liturgiczne, paraliturgiczne i pozaliturgiczne pieśni codziennych Franciszka Karpińskiego” poświęcony jest obiegowi kościelnemu obu pieśni. Na s. 99 Autor stwierdza, że istnieją tylko pośrednie dowody na wykonywanie obu pieśni w czasie liturgii eucharystycz-

nej, takie jak obecność w oficjalnych kancjonałach od połowy XIX w. Przypomina o powszechnym dziś wykonywaniu pieśni jako pieśni na wejście i na wyjście w liturgii. Utwory Karpińskiego śpiewano nie tylko w czasie mszy św., ale też w czasie nabożeństw paraliturgicznych i pozaliturgicznych. Dużo miejsca Autor poświęca analizie reportażu Władysława Reymonta *Pielgrzymka do Jasnej Góry*, dowodzącego wykonywania pieśni w czasie pielgrzymek. Tak jak liturgia przenosi człowieka do innej rzeczywistości, tak i pieśni pełniły funkcję wehikułu. *Pielgrzymka – Kościół w drodze* – jest tego najwyrazistszym przykładem.

Rozdział 3 „Zbłądzić pod strzechy. Obieg folklorystyczny pieśni codziennych” zawiera analizę powszechnego wykonywania utworów Karpińskiego. *Pieśni codzienne* zgodnie z intencją autora znalazły uznanie wśród publiczności wiejskiej. Świadczy o tym nie tylko ich umieszczanie w śpiewnikach, ale przede wszystkim liczne oboczności: wersje pieśni z elementami np. gwary kurpiowskiej. Żywotności pieśni dowodzą parafrazy. Piotrowski wspomina o takich przeróbkach pochodzących ze środowisk chłopskich i robotniczych sprzed 1918 r., a także z okresu II wojny światowej. Autor zauważa rozszerzenie znaczenia pojęcia folklor w XX w. na inne grupy społeczne niż tylko chłopci (folklor środowiskowe, np. robotniczy, flisacki). W podrozdziale „Jak działać pieśniami” Autor wskazuje na różne konteksty, w których wykorzystywano pieśni Karpińskiego. Obie dobrze się nadawały do śpiewania w czasie obrzędów przejścia (*rites de passage*). Szczególnie charakterystyczny jest opis nocy sobótkowej, który pochodzi z pracy Oskara Kolberga. Pierwsza część uroczystości miała charakter kościelny, chrześcijański. Ludzie w podniosłym nastroju śpiewali litanie do Najświętszej Maryi Panny, klęczeli przed krzyżem. Wykonanie *Wszystkich naszych dziennych spraw* stanowiło przejście do drugiej części o charakterze żywiolowym, wręcz pogańskim.

W rozdziale 4 Piotrowski opisuje obieg publiczny w XIX w. Obieg publiczny w jego rozumieniu to w dużej mierze funkcjonowanie pieśni w tradycji patriotycznej jako nośnika polskości. Tak były wykorzystywane już przez Związek Promienistych w czasie porannych spotkań pod Wilnem. Często wykonywano je w okresie powstań narodowych. Władysław Mickiewicz w *Śpiewach narodowych* z 1868 r. umieścił *Kiedy ranne wstają zorze pomiędzy Bogurodzicą a Jeszcze Polska nie zginęła*. Wykorzystanie pieśni religijnej w roli patriotycznej wynikało z faktu, że religia była jedną z nielicznych sfer, w których można było posługiwać się językiem polskim. Jest to jednak zjawisko ciekawe o tyle, że Karpiński w pieśniach nie umieścił żadnych treści narodowych. Obie mają za to charakter ogólny, co pozwala wstawiać je w różne konteksty w zastępstwie utworów w owych czasach niecenzuralnych. Ich codzienność jest jednak ambiwalentna ze względu na wykonywanie ich w momentach uroczystych. Drugim obiegiem publicznym był obieg szkolny. Powszechne było rozpoczynanie dnia nauki od *Kiedy ranne wstają zorze*. Władze zaborcze raczej akceptowały ten zwyczaj. Próby wprowadzenia modlitw rosyjsko- lub niemieckojęzycznych okazywały się kontrskuteczne. W podrozdziale „Moc języka. Wspólnota fatyczna?” Autor stawia problem utworów literackich jako spajających wspólnotę, będących częścią powszechnie rozumianego kodu kulturowego.

Rozdział 5 poświęcony jest funkcjonowaniu pieśni codziennych w XX w. Rozpoczyna się od zreferowania dyskusji, jaka w 2007 r. rozgorzała wokół wygrywania w Rzeszowie przez kościelne dzwony o świcie melodii *Kiedy ranne*. Wątek ten, wbrew chronologii umieszczony na początku rozdziału, dotyczy płynnej granicy między tym, co święte, a tym, co świeckie. Przede wszystkim wskazuje, że historia pieśni Karpińskiego to wciąż otwarta księga, a przyszłość dopisze do niej kolejne rozdziały. W dalszej części rozdziału 5 Autor pokazuje, jak omawiane pieśni funkcjonowały w środowisku harcerskim, szkole i wojsku. Ciekawe, że pieśni przekroczyły granice wyznań i obrządków: chętnie były wykonywane przez protestantów i unitów. W II Rzeczypospolitej uzyskały oficjalny status kościelny i państwowy. Naturalną kolejną rzeczą odgrywały ważną rolę w czasie II wojny światowej. Śpiewane były przez partyzantów, więźniów obozów hitlerowskich i sowieckich, powstańców, żołnierzy armii Andersa, a nawet armii Berlinga. Stanowiły wspólny element w bardzo zróżnicowanym doświadczeniu Polaków. O ile jednak w latach 1939–1945 utwory te pełniły głównie funkcję konsolacyjną, to w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny były wykorzystywane w nowej roli: więzionych w obozie w Sika-wie Niemców i volksdeutschów zmuszano w czasie długich apeli do śpiewania po polsku m.in. *Pieśni porannej*. Podniosła, religijno-patriotyczna pieśń stała się narzędziem zemsty.

O głębokim zakorzenieniu w połowie XX w. pieśni Karpińskiego świadczy fakt, że były one elementem codzienności komunistycznych instytucji, takich jak wojsko czy szkoła. Ogólnikowość ich treści powodowała, że były strawnym dla władz kompromisem: mogły one zastąpić poranny i wieczorny pacierz.

Po przedstawieniu treści książki zaprezentuję kilka związanych z nią przemyśleń. Nie chciałbym zwracać uwagi na drobne błędy (np. indeks informuje o występowaniu nazwiska Mikołaja Reja wyłącznie na s. 292, pomijając przynajmniej s. 60). Warto zatrzymać się jednak nad kilkoma zagadnieniami. Piotrowski odważył się napisać pracę na temat zarazem bardzo wąsko zdefiniowany, jak i niczym w zasadzie nieograniczony. Wąsko zdefiniowany, ponieważ dotyczył tylko i wyłącznie dwu krótkich utworów. Nieograniczony, ponieważ Autor starał się spenetrować całą polską kulturę od końca XVIII stulecia po lata ostatnie. Jest rzeczą naturalną, że Autor musiał dokonać wyboru, przejawiającego się chociażby w ustaleniu bazy źródłowej. Piotrowski skoncentrował się na śpiewnikach i modlitewnikach, literaturze pięknej oraz pamiętnikach. Wątki współczesne, nie stanowiące trzonu pracy, oparł na prasie; raczej anegdotycznie niż analitycznie należy potraktować próbę wyciągnięcia jakichś wniosków z wyników wyszukiwarek internetowych.

Niewiele wniosłyby postulaty sprowadzające się do żądania wykorzystania większej liczby źródeł. Nigdy nie będzie ich dość. Autor, który unika tematów przyczynkarskich, na pewno zdaje sobie sprawę, że odbywa się to kosztem koniecznej selekcji podstawy źródłowej. Nieomal automatycznie pojawia się pytanie o reprezentatywność tekstów włączonych do analizy. Praca Piotrowskiego nie rozwiewa wszystkich wątpliwości. Z pojedynczych świadectw o wykonywa-

niu pieśni w różnych okolicznościach, np. wzmianek pamiętnikarskich o śpiewach w wojsku lub obozie, trudno wnosić, w jakim stopniu były to zachowania powszechne.

To, co wydaje mi się w książce Piotrowskiego najbardziej wartościowe, to zbudowanie soczewki, przez którą można spoglądać na ważne, dobrze znane i obficie opisane wydarzenia i procesy. Wiele najważniejszych cech polskiej historii XIX i XX w. odcisnęło się na funkcjonowaniu *Pieśni codziennych* Karpińskiego. Pieśni, wyrastające z intelektualnej atmosfery oświecenia, odnawiały się dobrze w kolejnych epokach. Przeplatanie się tego, co religijne i kościelne, z tym, co państwowe i świeckie, było związane z procesem transformacji narodu w nowoczesną wspólnotę, obejmującą wszystkie grupy społeczne i wykorzystującą nowo powstające instytucje (stowarzyszenia o różnych celach). Utwory Karpińskiego stały się wehikułem polskości. Elementem tożsamości narodowej wspólnej dla Polaków doświadczających różnorodnych oblicz wojny. Niekoniecznie elementem najważniejszym lub najbardziej spektakularnym. Były jednak częścią codzienności i z tego względu tyle istotne, co łatwe do pominięcia przy inaczej zdefiniowanych problemach badawczych.

Czy warto patrzeć na „wielką” historię z takiego punktu widzenia? Czy zmiana optyki wnosi coś do obrazu polskiej przeszłości? Jestem przekonany, że tak. Perspektywa, którą przyjął Piotrowski, pozwala nie tylko zobaczyć „zwykłego człowieka” (co byłoby dziś już banałem), ale jest testem dla abstrakcyjnych teorii i ogólnych ocen. Szerokie ramy czasowe, choć otwierające możliwości krytyki (o czym wspominałem wcześniej), pozwalają uchwycić ciągłość. *Pieśni codzienne* zostały dotknięte przez następującą sekwencję zdarzeń: sprzęgnięcie tego, co religijne, z tym, co narodowe; zrutyinizowane w ramach oficjalnych instytucji (szkoła, wojsko) w niepodległym państwie; pełnienie funkcji konsolacyjnej w czasie II wojny światowej; sekularyzacja w ostatnich latach. Sposób wykorzystywania pieśni bezpośrednio po 1945 r. — zmuszanie więźniów do śpiewania, miejsce w oficjalnym repertuarze instytucji komunistycznych — stawia pytania o utrwalony w powszechnej świadomości obraz polskiego społeczeństwa tamtego okresu.

Po lekturze książki Piotrowskiego pozostaje więc niedosyt. Chciałoby się, by każdy rozdział został rozbudowany do rozmiarów oddzielnej monografii, tak aby móc przyjąć wnioski z nich płynące jako reprezentatywne i solidnie uargumentowane. Świadczy to o dobrze wybranym temacie.

Trzecim problemem, o którym warto wspomnieć w kontekście *Pieśni i mocy* Piotrowskiego, jest oralność. Oralność kultury jest w ostatnich latach tematem modnym, zwłaszcza wśród antropologów. Wydaje się, że historycy nie doceniają tego zagadnienia w wystarczającym stopniu, nawet jeśli sięgają po źródła ikonograficzne. Wielowiekowa dominacja w kulturze komunikacji ustnej powinna jednak zostać postawiona znacznie ostrzej. Tym bardziej że nastąpiło przesunięcie zainteresowania badaczy z wydarzeń *stricte* politycznych na codzienność, mentalność, kulturę. Są to sfery rzeczywistości, w których piśmienność zajmuje znacznie mniej miejsca, niż wynikałoby to z dotychczasowych badań

historycznych. Panuje milcząca założenie (choć oczywiście nie każdy autor je podziela), że sposoby postrzegania świata i komunikowania się między ludźmi w innych epokach były co do swej istoty analogiczne do znanych nam dziś. Przeniesienie się również znaczenie piśmienności w naszej epoce. Na ogół społeczeństwa przenosi się cechy charakterystyczne dla elit. Piśmiennność zaś to — o czym warto przypomnieć — kompleks cech daleko wykraczających poza samą umiejętność czytania i pisania: techniki memoryzacji, kategorie postrzegania rzeczywistości, sposoby komunikowania się.

W *Pieśni i mocy* ten problem widać w tle całej pracy, a czasem (zwłaszcza w rozdziale 3) znajduje się na pierwszym planie. Autor dochodzi (s. 192), za Walterem Ongiem, do wniosku pesymistycznego, choć raczej bliskiego prawdy: świat oralny jest już nie do odzyskania. Odbieramy zaledwie ślady i sygnały oralnej przeszłości. Sygnały te (modlitewniki, śpiewniki, wspomnienia) wskazują, że pieśni funkcjonowały w żywym obiegu. Czasem możemy wyłapać garść szczegółów. Skazani jesteśmy jednak na domysły i szcątkową wiedzę. Nikt dziś już nie może usłyszeć i doświadczyć, jak faktycznie były wykonywane, w jaki sposób były przeżywane; jakie budziły emocje.

*Pieśni i moc* Igora Piotrowskiego to udana próba zbudowania soczewki, skupiającej w jednym, wąsko zakreślonym temacie wiązki problemów „dużej historii”. W ciekawy sposób pokazuje historię polskiego społeczeństwa od końca XVIII w. do ostatnich lat. Uważny czytelnik przekonuje się, jak bardzo wciąż niedocenianym aspektem przeszłości jest oralność.

Michał Starczewski  
(Warszawa)

*Redefining the Sacred. Religion in the French and Russian Revolutions*,  
ed. Daniel Schönplüg and Martin Schulze Wessel, Frankfurt am  
Main 2012, Peter Lang, ss. 226

Na okładce książki widnieją dwa trupy. U góry, ze zwieszonym martwo ramieniem, jakby z krzyża zdjęty, spoczywa w sarkofagu swej wanny Marat. U dołu — Lenin w Mauzoleum. Z jego zabalsamowanych dłoni i twarzy bije mistyczne światło. Unieśmiertelnieni na płótnie i fotografii Przyjaciel Ludu i Wódz Października zgodnie zaświadcza o związkach rewolucji z sacrum.

Te kanoniczne portrety dwóch martwych rewolucjonistów zdobią okładkę książki *Redefining the Sacred. Religion in the French and Russian Revolutions*. Redaktorzy dzieła zaprosili do współpracy międzynarodowe grono doświadczonych badaczy obu rewolucji — znakomitych znawców oświecenia i rewolucji francuskiej: Dale Van Kleya, Bernarda Plongerona i Jean-Claude’a Bonnetta oraz uznanych specjalistów w dziedzinie rewolucji październikowej: Gregory’ego Freeze’a, Alexandre’a Etkinda, Michaiła Shkarovskiego oraz Frithjofa Benjamina Schenka.

Autorzy, jak zaznacza się we wstępie, podjęli się zadania pionierskiego. Aż trudno uwierzyć, ale tak obiecujący temat, jakim jest próba porównania dziejów



religijnych uważanej przez samych bolszewików za matrycę ich działań rewolucji francuskiej z historią religijną rewolucji październikowej, doczekał się zaledwie jednego, nie w pełni — zdaniem Autorów — satysfakcjonującego opracowania<sup>1</sup>. Recenzowana, skromna objętościowo książka ma — w zamyśle redaktorów — tylko do pewnego stopnia wypełnić tę lukę. We wstępie zaznaczają oni, że nie mają ambicji stworzenia uniwersalnych ram pojęciowych ułatwiających porównywanie religijnych historii rewolucji. Ich eksperyment zakłada dużo skromniejsze cele. „Zestawiając w komparatystycznym ujęciu podobieństwa, różnice i wpływy między historiami religijnymi obu rewolucji, autorzy starają się znaleźć odpowiedzi na klasyczne pytania analityczne dotyczące źródeł obu rewolucyjnych reżimów, zmiany politycznej, społecznej i kulturowej, do której owe reżimy doprowadziły, oraz ich charakteru”<sup>2</sup> (s. 17). Książka *Redefining the Sacred* ma też za zadanie walczyć z kliszami dawnej historiografii, która skłonna była dostrzegać jedynie antyreligijne ostrze rewolucji. Zdaniem Autorów nowoczesny badacz powinien wyjść poza nacechowaną wrogością dychotomię rewolucja-religia i ujrzyć w rewolucji próbę redefinicji sacrum.

W jaki sposób Autorzy realizują tak nakreślone cele? *Redefining the Sacred* podzielone jest na cztery części: „Rethinking Secularization”, „Religious Dissent, Political Dissent”, „Revolutionizing the Church” i „Revolutionary Cults”. Każda z części zawiera po dwa eseje, jeden dotyczący rewolucji francuskiej, drugi — październikowej.

Pierwszy ze szkiców *La faute à Voltaire? Secularizations and the Origins of the French Revolution* wyszedł spod pióra Daniela Schönpluga. Dokonuje on w nim przeglądu literatury upatrującej w oświeceniowej sekularyzacji francuskiego społeczeństwa głównej przyczyny wybuchu rewolucji. Wychodząc od autorów współczesnych rewolucyjnym wstrząsom, takich jak Joseph de Maistre, który w rewolucyjnym terrorze widział narzędzie Bożej pomsty zesłanej na upadły naród, czy abbé Augustin Barruel, który okrzyknął jakobinów „sektą”, Autor dochodzi do najnowszych pozycji roztrząsających problem sekularyzacji u progu rewolucji francuskiej. Zdaniem Schönpluga, większość współczesnych badań wskazuje, że sekularyzacja nie była aż tak powszechna i głęboka, jak można by sądzić, opierając swą wiedzę na wybranych pismach i postawach filozofów Wieku Świateł. W odniesieniu do całego społeczeństwa mówić należy raczej nie o sekularyzacji, ale o pluralizacji życia religijnego Francuzów.

Freeze w swoich rozważaniach *Critical Dynamic of the Russian Revolution: Irreligion or Religion?* na temat sekularyzacji w przedrewolucyjnej Rosji opiera się na wynikach swoich własnych badań archiwalnych. Czyni tak choćby dlatego,

---

<sup>1</sup> A.J. Mayer, *The Furies. Violence and Terror in the French and Russian Revolutions*, Princeton 2001, rozdz. 7 i 11–13.

<sup>2</sup> „By taking a comparative look at similarities, differences, and influences between the religious histories of two revolutions, the authors try to find new answers to classic analytical questions about their origins, about the political, social, and cultural change they generated, and about the character of the two revolutionary regimes”.

że w dotychczasowej historiografii brak bezstronnych prac poświęconych temu zagadnieniu. Trudno bowiem uznać za takie ustalenia radzieckich historyków utrzymujących, iż jedną z przyczyn wybuchu rewolucji październikowej był daleko posunięty proces dechrystianizacji kraju. Podczas gdy historycy radzieccy na poparcie swej tezy cytowali tendencyjnie dobrane fragmenty dorocznych raportów władz kościelnych z poszczególnych diecezji, Freeze opiera się na ilościowych badaniach dotyczących przestrzegania sakramentu pokuty i komunii św. w Kościele prawosławnym. Dane wskazują jednoznacznie na duże zdyscyplinowanie wiernych i głębokie przywiązanie do Cerkwi. „Gdyby «sekularyzacja» była najważniejszym z czynników, rewolucja 1917 roku wybuchłaby w Anglii, Francji i Niemczech, nie w Rosji”<sup>3</sup> (s. 74) — konstatuje Freeze. Jego zdaniem to raczej wiara niż niewiara przyczyniła się do upadku Starego Porządku. Wpłynął na to kryzys wewnątrz Cerkwi, jak również kryzys na linii Cerkiew–carat. Domagająca się bezskutecznie powrotu zlikwidowanego przez Piotra I Patriarchatu oraz oburzona na przyznający wolność religijną dekret z 1905 r., Cerkiew w kluczowym momencie opuściła upadającą dynastię Romanowów.

Część drugą otwiera tekst Van Kleya *Religion and the Age of „Patriot” Reform*. Ruch patriotyczny — jak dowodzi Autor — był bardzo wpływowym ruchem w osiemnastowiecznej Europie i jednym z najważniejszych czynników pierwszej fazy rewolucji francuskiej. Jego źródła Van Kley doszukuje się w środowisku augustyniańskim, we Francji reprezentowanym przez jansenistów. Spory religijne w osiemnastowiecznej Francji ległyby zatem u podstaw sporów politycznych, zapoczątkowanych walką o parlamenty i zwołanie Stanów Generalnych.

Nieco bardziej skomplikowana zdaje się sytuacja w znakomitym szkicu Etkinda *Religious Sects and the Revolution in Russia*. Lenin uważał, że rewolucji dokonają wspólnymi siłami ateistyczni działacze i religijny lud. Rewolucjoniści, mimo iż większość z nich była zdeklarowanymi ateistami, dopuszczali religijny sztafaż socjalizmu, który miał ułatwić jego akceptację przez prawosławny naród. „Religia i Rewolucja były nieoddzielne w umysłach dwóch przedrewolucyjnych pokoleń. Świadomi kulturowej przepaści, która oddzielała ich od chłopstwa, radykałowie próbowali za pomocą religijnych symboli komunikować swoje polityczne cele”<sup>4</sup> (s. 146). Wielu z nich zafascynowanych było sektami religijnymi, w których strukturze doszukiwali się „socjalizmu *avant la lettre*”. Apokaliptyczne nadzieje sekciarzy interpretowali jako obietnicę nadchodzącej rewolucji. Ciekawą postacią jest tu rewolucjonista i etnograf, sekretarz i przyjaciel Lenina, Władimir Boncz-Brujewicz (Vladimir Dmitriewiç Bonč-Bruewiç). W czasach przedrewolu-

---

<sup>3</sup> „Were «secularization» a principal factor, revolution in 1917 should have come to England, France, and Germany — not Russia”.

<sup>4</sup> „Religion and Revolution were allied in the minds of the two pre-revolutionary generations. Aware of the cultural gap that separated them from the peasants, radicals hoped to use religious symbols to communicate their political aims”.

cyjnych obwołany przez jedną z ekstatycznych wspólnot prorokiem Eliaszem, po śmierci Lenina był jednym z głównych twórców i propagatorów jego kultu.

Część trzecia poświęcona została próbom stworzenia nowych rewolucyjnych Kościołów. Plongerón przedstawia krótkie, acz burzliwe dzieje Kościoła konstytucyjnego we Francji. W swoim szkicu stara się odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu jego pomysł został narzucony odgórnie przez reformującą całą zastaną rzeczywistość państwo, w jakiej zaś mierze był dziełem zbuntowanych przeciwko przywilejom i bogactwom biskupim księży oraz wyrazem odwiecznych gallikańskich ciągot Najstarszej Córy Kościoła.

Shkarovskiy w swoim eseju równoległym (*Soviet State and Soviet Church*) opowiada o rewolucyjnych próbach zreformowania Kościoła prawosławnego w Rosji. Zrodzony w 1905 r. ruch odnowy rewolucjoniści traktowali wybitnie instrumentalnie. „Przekonani, że niedługo nie będzie istniał żaden Kościół, że żaden kler nie może być postępowy, a żadna religia nowoczesna, ateści uważali ruch odnowy jedynie za chwilowego «towarzysza podróży władzy radzieckiej»”<sup>5</sup> (s. 194).

W ostatniej części recenzowanej pracy Bonnet (*Marat — a Political Saint*) i Schenk (*In Search of a New Pantheon: Personality Cults in Early Soviet Russia*) omawiają pośmiertne losy rewolucjonistów z okładki — Marata i Lenina. Religijna symbolika, jaką opatrzone ich ciała, była zrozumiała i czytelna dla prostego ludu. Kult nowych rewolucyjnych świętych ułatwiał zatem legitymizację nowej władzy i akceptację jej czasem trudnej do pojęcia ideologii.

Autorzy *Redefining the Sacred* postawili przed sobą dwa ambitne zadania. Po pierwsze, postanowili wypełnić lukę historiograficzną w komparatystycznych badaniach nad obiema rewolucjami. Po drugie, pragnęli odnaleźć nowe, polityczne definicje sacrum w upolitycznionym rewolucyjnym świecie. Czy sprościli temu zadaniu? Po części. Książka przynosi nam szereg ważnych, często odkrywczych dla czytelnika szkiców opartych na wieloletnich badaniach uznanych specjalistów. Jednak zarzut równoległych, nieprzecinających się narracji, który redaktorzy stawiają wzmiankowanej tu pracy Arno J. Mayera, można odnieść również do *Redefining the Sacred*. Próby porównania obu rewolucji pojawiają się jedynie we wstępie, w poszczególnych szkicach rewolucje bardzo rzadko wchodzą ze sobą w bezpośredni dialog. Choć z drugiej strony można też uznać za zaletę książki fakt, że nie narzuca ona gotowych odpowiedzi, lecz poprzez przemyślany układ materiału niejako zmusza czytelnika do samodzielnej refleksji.

Zabrakło mi tu jednak pogłębionej analizy zjawiska rewolucyjnego terroru i ikonoklazmu. Jej brak (czasem dotkliwy, jak w przypadku opisu dziejów Kościoła konstytucyjnego we Francji) podyktowany był być może wyrażonym we wstępie przekonaniem Autorów o nadmiernym skoncentrowaniu dawnej historiografii na antagonizmie rewolucji i religii. Bez uwzględnienia terroru trudno jednak zrozumieć dynamikę i sensy rewolucji. A i sam rewolucyjny terror miał przecież wiele

---

<sup>5</sup> „Convinced that no church could be continue (*sic!*) to exist, no clergy could be progressive, and no religion could be modern, the atheists considered the renewal movement to be only a «temporary fellow-traveler of the Soviet power»”.

z sacrum, przynajmniej w czasach, gdy święta Gilotyna „działała więcej cudów niż św. Genowefa”, patronka Paryża<sup>6</sup>. Ciekawe też w tym kontekście wydawałoby mi się studium nad stopniem sakralizacji przemocy w kraju Października, w którym to – w przeciwieństwie do teatralizującej przemoc Francji – posługiwano się nią dużo mniej ostentacyjnie.

Brakło mi także refleksji nad obecnością sacrum w rewolucyjnych świętach i kultach. Te ostatnie w przypadku rewolucji francuskiej zostały potraktowane nieco po macoszemu, jako niebudzące większego zainteresowania osiemnastowiecznej publiki (z wyjątkiem „barokowego” kultu Marata). Zarówno święta, jak i kultury doczekały się co prawda epokowych monografii, niekiedy – jak w przypadku Alphonse’a Aularda i Alberta Mathieza – już ponad stuletnich, jednak nowa, komparatystyczna refleksja mogłaby przynieść dużo ciekawych spostrzeżeń. Czuję, jak lista życzeń powoli zmienia się w hipotetyczny spis treści drugiego tomu *Redefining the Sacred*, o który mogliby się kiedyś pokusić jego Autorzy. Jest to o tyle zasadne, że badania nad sakralnością władzy i religiami politycznymi przeżywają właśnie swój wielki rozkwit<sup>7</sup>.

Monika Milewska  
(Gdańsk)

Serhii Plokhyy, *The Cossack Myth. History and Nationhood in the Age of Empires*, Cambridge–New York 2012, Cambridge University Press, ss. 386, xi.

Serhii Plokhyy (Sergij Plohij) jest pod wieloma względami historykiem wyjątkowym. Wykształcenie zdobył w Rosji (Moskwa) oraz na wschodniej i centralnej Ukrainie (Dniepropietrowsk i Kijów). Również nad Dnieprem rozpoczął swoją karierę naukową, następnie jednak przeniósł się za ocean, gdzie był m.in. zastępcą dyrektora Peter Jacyk Centre for Ukrainian Historical Research w ramach Canadian Institute of Ukrainian Studies w Albercie. Aktualnie Plokhyy pełni funkcję Mykhailo Hrushevsky Professor of Ukrainian History na Uniwersytecie Harvarda. Badacz ten może więc łączyć doświadczenia obu wielkich nurtów ukraińskiej humanistyki: radzieckiego i kanadyjsko-amerykańskiego. Pozwala mu to spojrzeć na wiele zagadnień w sposób oryginalny i niezależny.

<sup>6</sup> Por. M. Milewska, *Ocet i łyż. Terror Wielkiej Rewolucji Francuskiej jako doświadczenie traumatyczne*, Gdańsk 2002, rozdz. 1 „Terror jako sacrum”.

<sup>7</sup> Z polskiego podwórka można przywołać choćby takie pozycje jak: R. Kupiecki, *„Natchnienie milionów”. Kult Józefa Stalina w Polsce 1944–1956*, Warszawa 1993; M. Kula, *Religiodobny komunizm*, Kraków 2003; R. Imos, *Wiara człowieka radzieckiego*, Kraków 2007; P. Osęka, *Rytuały stalinizmu. Oficjalne święta i uroczystości rocznicowe w Polsce 1944–1956*, Warszawa 2007; *Komunistyczni bohaterowie*, t. 1: *Tradycja, kult, rytuał*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, E. Wróblewska-Trochimiuk, Kraków 2011; M. Milewska, *Bogowie u władzy. Od Aleksandra Wielkiego do Kim Dzong Ila. Antropologiczne studium mitów boskiego władcy*, Gdańsk 2012.

Plokhly śmiało przekracza też i inne historiograficzne podziały: w jego dorobku znaleźć bowiem można zarówno prace dotyczące okresu nowożytnego, jak i wieków XIX oraz XX.

Tym razem Plokhly postanowił pójść jeszcze dalej i zatrzeć granicę między historią kultury a dziennikarstwem śledczym. Postawiony w jego najnowszej pracy problem badawczy przedstawiony zostaje jako „sprawa”, która była już przedmiotem wielu „dochodzeń”. Autor wznawia „śledztwo”, gromadzi i analizuje powstałe w toku poprzednich badań „akta”, a także samemu wyszukuje nowe „dowody” i w ten sposób stara się zrekonstruować bieg wypadków oraz wskazać „winowajcę”. O jaki więc delikt chodzi? Pytanie, na które chce odpowiedzieć Plokhly, brzmi: kto jest autorem tzw. *Istorii Rusow*?

Już sam fakt, że wiele pokoleń profesjonalistów i amatorów mierzyło się z tą zagadką, usprawiedliwia podjęcie próby jej ostatecznego rozwikłania, zwłaszcza że Autor znacząco poszerza pole badań i proponuje zupełnie nowe rozwiązania. Z drugiej jednak strony, czy nie jest to kolejny akademicki problem, uświęcony sięgającą XIX w. tradycją, ale w ostatecznym rozrachunku niezbyt wyrafinowany i umiarkowanie istotny dla wyjaśnienia „wielkich” kwestii badawczych, czy to dziejów samej Ukrainy, czy też szerzej Imperium Rosyjskiego, Europy, lub w ogóle świata nowoczesnego? Nie całkiem, albowiem, jak wyjaśnia Autor, *Istorija Rusow* była dla kolejnych generacji Ukraińców niezwykle ważnym tekstem, za pomocą którego konstruowali oni tożsamość swojej wspólnoty — a raczej jej kolejne tożsamości.

*Istorija Rusow* zostaje przez harwardzkiego profesora wykorzystana jako swoisty punkt obserwacyjny, z którego roztacza się doskonały widok na skomplikowane przemiany ukraińskości w stuleciach XIX i XX. Dlaczego właśnie *Istorija Rusow*, a nie jakiś inny tekst, dajmy na to *Kobzar* czy *Rusałka Dnistrowaja*? Tutaj przyda się z pewnością parę słów wyjaśnienia co do przedmiotu książki. *Istorija Rusow* nie jest, jak mógłby współczesnemu czytelnikowi sugerować jej tytuł, historią Rosji czy nawet Rusi. *Istorija Rusow* jest utworem historycznym poświęconym Kozakom ukraińskim i tradycjom ich odrębności. Albowiem w przekonaniu autora (autorów?) tego utworu to właśnie Kozacy mieli być najczystszyimi potomkami dawnego ruskiego rycerstwa i — co za tym idzie — dziedzicami tradycji kijowskiej.

W latach dwudziestych XIX w. rękopiśmienne kopie *Istorii Rusow* zaczęły krążyć pośród ziemian guberni czernihowskiej. Została ona w końcu opublikowana w Moskwie w 1846 r., jako dzieło biskupa mohylewskiego Heorhija Konyńskiego<sup>1</sup>, jednego z inicjatorów konfliktu o prawa niekatolików w Rzeczypospolitej w pierwszym okresie panowania Stanisława Augusta, a od 1772 r. poddanego rosyjskiego. Biskup miał ją napisać na życzenie Hryhorija Poletyki, który rzekomo potrzebował tego rodzaju pracy historycznej dla obrony

---

<sup>1</sup> Wszystkie nazwiska i tytuły, które Autor podał w tekście angielskim jako ukraińskie, pozostawiam zgodnie z duchem jego tekstu w tej formie, choć dla polskiego czytelnika może to być nieraz zaskakujące.

interesów małosyjskich elit i ich regionalnych przywilejów na forum Komisji Legislacyjnej 1767 r. Utwór ten, zredagowany zresztą po rosyjsku, stał się szybko jednym z ważniejszych źródeł ukraińskiej narracji historycznej, skarbnicą mitów i symboli, której publikacja (w oryginale i w przekładzie na ukraiński) jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XX w. mogła wywoływać niezwykle żywe emocje wśród oszołomionych niespodziewaną niepodległością Ukraińców.

To, że *Istorija Rusow* nie jest zbyt wiarygodnym źródłem informacji, stało się w miarę szybko jasne dla profesjonalnych historyków, a nawet wielu trzeźwo myślących amatorów. Wkrótce też zaczęto wątpić w autorstwo biskupa mohylewskiego i wysuwać mniej lub bardziej prawdopodobne alternatywy: m.in. samego Hryhorija Poletykę, jego syna Wasyla czy księcia Ołeksandra Bezborodkę. Z perspektywy czasu widzimy dziś w tym utworze przede wszystkim dość typowy dla swej epoki falsyfikat historyczny, pokrewny *Pieśniom Osjana* czy czeskim rękopisom RKZ (královédvorský i zelenohorský), a może nawet *Słowu o wyprawie Igora* (spór wciąż nierozstrzygnięty). Niezależnie od stopnia autentyczności poszczególnych dzieł, nie ulega wątpliwości, że w Europie schyłku XVIII–pierwszych dekad XIX w. istniało silne zapotrzebowanie na teksty, które łączyłyby zalety fabularne powieści Waltera Scotta z dostojnością autentycznego zabytku.

Płochij doskonale zdaje sobie sprawę z tego szerokiego kontekstu, ale interesuje go przede wszystkim konkret, nie zaś abstrakcyjny ogół. Stara się więc dociec, jak powstał ten jeden falsyfikat, kto go stworzył, kiedy, w oparciu o jakie źródła, na czyje polecenie i w jakim celu. Zarazem szersza problematyka nacjonalizmu nie znika nigdy z zasięgu wzroku Autora. Wychodzi on z założenia, że tożsamości wspólnot nie są czymś wiecznym i niezmiennym, lecz raczej ulegają ciągłym przemianom i reinterpretacjom, w wyniku których mogą zmieniać swój charakter w tak głębokim stopniu, że pojęcie ciągłości musi zostać poważnie przemyślane i zniuansowane, choć zarazem nie sposób go po prostu odrzucić, jak to postulowali deterministyczni moderniści w latach osiemdziesiątych XX w. Inaczej niż oni, a podobnie do badaczy brytyjskich, takich jak Tim Blanning i Linda Colley, ukraiński historyk wskazuje również na kluczową rolę odegraną w procesie rozwoju świadomości narodowej przez tradycyjne elity społeczne, na poparcie której to tezy przywołuje przykład aktywności politycznej i kulturalnej niemieckojęzycznej szlachty i arystokracji z Korony Św. Wacława. Autor przedstawia swoje stanowisko w dyskusji dotyczącej teorii nacjonalizmu na kilku zaledwie stronach, ale zagadnienia te cały czas pulsują pod powierzchnią jego opowieści. Zamiast jednak męczyć nas ezoterycznymi subtelnościami kolejnych mutacji teoretycznych, ubiera całość w szaty historii detektywistycznej. Pod tym względem jego piarstwo polskiemu historykowi może przywodzić na myśl styl Emanuela Mateusza Rostworowskiego.

Płochy używa tej formuły, by za jednym zamachem zrealizować kilka celów. Po pierwsze, jest więc samo śledztwo, które ma za zadanie wyjaśnić tę dawną zagadkę i ustalić autora. Nazwisko nie jest jednak celem nadrzędnym, chodzi bowiem przede wszystkim o to, by określić, z jakiego środowiska twórca tego tekstu się wywodził oraz jaki był jego багаż kulturowy, a co za tym idzie — świa-

topogląd i motywacje (s. 347). Opierając się na ogromnym dorobku swych poprzedników, a także nowo odkrytych dokumentach (m.in. z archiwów okręgowych z Czernihowa), Autor konstruuje imponujący majstersztyk. Szczegółowa ocena kolejnych elementów śledztwa należeć będzie przede wszystkim do innych znawców tego nieco hermetycznego tematu, ale w toku swego wykładu Plokhya jest całkowicie przekonujący. Streszczenie tutaj całej procedury badawczej zajęłoby zbyt dużo miejsca, a co więcej, zepsułoby wiele przyjemności, jaką Autor oferuje czytelnikowi, zapraszając go do tej zabawy w detektywa. Warto tu może tylko ostrzec, że dla osiągnięcia lepszego efektu Plokhya czasem nieco zwodzi — nie sprzeniewierza się nigdy rzetelności naukowej, ale odkłada po prostu pewne niespodzianki na później, by podtrzymać napięcie.

Niejako przy okazji Autor opowiada nam dwie inne historie: Ukrainy w Imperium Rosyjskim i ZSRR oraz ziemiaństwa w guberni czernihowskiej. Tę pierwszą ukazuje przez pryzmat *Istorii Rusow*: tego, jak była ona wykorzystywana przez różne jednostki i środowiska do często zupełnie przeciwstawnych celów; i tego, jak różni badacze starali się dociec prawdy na temat tego tekstu, ale przeszkadzało im w tym ich własne uwikłanie w historię. Autor zapoznaje nas tutaj z postaciami tak różnymi jak Mychajło Wozniak (Mihajło Voznâk), fanatycznie pracowity akademik AN USRR, który klepiąc biedę w przedwojennym Lwowie, uniknął kolejnych fal stalinowskich czystek; Ołeksandr Ohłobłyn (Oleksandr Ogloblin), mianowany przez nazistów burmistrz Kijowa; czy Fedir Szewczenko (Fedir Ševčenko), młody archiwista NKWD, a później profesor historii oskarżany o odchylenie nacjonalistyczne. Tych i wielu innych badaczy połączyła właśnie praca nad zagadką *Istorii Rusow*, a Plokhya (niektórych z nich znający zresztą osobiście) używa ich wkładu w śledztwo jako swoistych drzwi, uchylanych na chwilę, by ukazać czytelnikowi meandry ukraińskiej historii. Z oczywistych przyczyn jest to wyjątkowo cenny dla polskiego czytelnika aspekt tej książki. Nie chodzi tylko o kwestię spojrzenia z tzw. drugiej strony. Zbyt często w Polsce historię Ukrainy oglądamy przez galicyjskie okienko, które, choć niezwykle interesujące i samo w sobie wartościowe, jest jednak zarazem dość wyjątkowe i przez to umiarkowanie reprezentatywne. Plokhya proponuje wizję Ukrainy, w której jest miejsce na równych prawach dla Lwowa, Kijowa i Charkowa, a także wielu mniejszych miejscowości z różnych regionów.

Być może jeszcze bardziej interesujący jest portret ziemian guberni czernihowskiej, potomków starszyny kozackiej Hetmanatu. Plokhya stara się wytropić pośród nich autora *Istorii Rusow* i w tym celu zapoznaje nas w sposób niezwykle dokładny z poszczególnymi jednostkami i rodzinami, ich małżeńskimi swarami, żydowskimi przodkami, antypolskimi uprzedzeniami, petersburskimi karierami i wiejskimi bibliotekami. Świat ziemiaństwa to nie tylko ludzie należący do tej sfery, ale też i inni uzależnieni od nich na różne sposoby. A także liczne sprzeczności bulgoczące pod pozornie gładką powierzchnią, np. dotyczące traktowania starowierców, zakresu autonomii małosyjskiej, czy możliwej współpracy z francuskimi najeźdźcami. Znowu nie sposób zreferować tej fascynującej opowieści rozciągającej się od lat sześćdziesiątych XVIII do końca dwudziestych XIX w.

(a chwilami nawet i dalej). Plokhy zbliża się tu do ideału mikrohistorii, która rekonstruuje szczegół, kwestionuje utarte prawdy ogólne, a przede wszystkim otwiera zupełnie nowe perspektywy badawcze.

Nie jest przyjęte zdradzać w recenzji nazwisko sprawcy kryminału, ale ponieważ chodzi tu o pracę naukową, zreferowanie odpowiedzi na najważniejsze postawione w niej pytanie wydaje się niezbędne. Czytelnicy, którzy planują sami sięgnąć po najnowszą książkę Plokhyja, najlepiej zrobią, jeśli po prostu opuszczą następny akapit, w którym wyjawione zostanie rozwiązanie zagadki *Istorii Rusow*.

Ukraiński badacz wskazuje, że nie jest w tej chwili możliwe zidentyfikowanie z całkowitą pewnością konkretnej osoby, którą można by uznać za autora tego dzieła; co więcej, nie jest nawet pewne, czy taki indywidualny autor w dzisiejszym rozumieniu tego słowa w ogóle istniał, czy też raczej należy tu mówić o swoistym zbiorowym brikolażu. Plokhy przekonująco dokumentuje jednak węzłową rolę, odegraną przez marszałka szlachty czernihowskiej generała Stepana Szyraja, będącego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bezpośrednim zleceniodawcą, jeżeli nie głównym współautorem redakcji tekstu, którą znamy dziś jako *Istorija Rusow*. Co ważniejsze, wyjaśnione zostaje, że powstała ona w okolicach miasta Starodub (obecnie w obwodzie briańskim Federacji Rosyjskiej) tuż po zakończeniu wojen napoleońskich i reprezentuje światopogląd tamtejszych elit ziemiańskich. Środowisko to było wtedy wyjątkowo rozgoryczone polityką rządu petersburskiego, który po uspokojeniu europejskiej nawałnicy ponownie zabrał się do rozwiązywania pułków kozackich i brania pod lupę szlachectwa poszczególnych potomków starszyny, a w tym samym czasie tworzył konstytucyjne Królestwo Polskie. Dla ludzi, którzy dopiero co podjęli ogromny wysiłek w obronie ojczyzny zaatakowanej m.in. przez wojska Księstwa Warszawskiego, było to wyrazem krzyczącej niesprawiedliwości.

Poza zaproponowaniem oryginalnego rozwiązania starej zagadki jeszcze dwa osiągnięcia Autora wydają się wyjątkowo cenne. Po pierwsze, udaje mu się pokazać, jak doszło do tego, że tekst, później zinterpretowany jako wyraz buntu przeciw Imperium, został stworzony przez ludzi, którzy to właśnie Imperium uważali za swoje państwo, a chodziło im tylko o to, by pozwolono im je budować na ich własnych zasadach, by mogli zachować swe lokalne wpływy i za ich pomocą konstruować swą silną pozycję w stolicy. Ich bohaterem nie był wcale rebeliant Mazepa, ale sprzeciwiający się nadużyciom władzy, lecz lojalny aż do bólu (a właściwie, do śmierci) hetman nakażny Pawło Połubotok, który zmarł w 1724 r. w twierdzy pietropawłowskiej. Po drugie, Plokhy pokazuje, że choć programu maximum zrealizować się nie udało, to i tak siła tych lokalnych wielmożów była ogromna i w końcu zdolni byli oni złamać karierę generała-gubernatora, który za bardzo mieszał się w ich sprawy, m.in. stosunki z poddanymi czy nielegalną destylację alkoholu. Pokazuje to, jak złożona była natura relacji między imperialnym centrum władzy a rzekomo obezwładnionymi peryferiami. Plokhy konkluduje przewrotnie, że walcząc o swoje tradycyjne przywileje, ziemianie ci stopili elementy oświeceniowe ze starszymi konfesyjno-stanowymi przekonaniem. W ten sposób stworzyli symbole, które następnie nasycone no-



wymi treściami, stały się nośnikami społecznej i narodowej emancypacji mas — tych samych, nad którymi pragnęli zachować kontrolę, nie dopuszczając do odgórnego imperialnej modernizacji. Małorosyjscy posiadacze ziemscy, lojalni mal-kontenci, broniąc swych interesów, niejako mimochodem wykreowali ukraińską symbolikę narodową, która w końcu obróciła lud zarówno przeciw rosyjskiemu państwu, jak i im samym. Plokyh nie jest tu ani derżawnykiem, ani narodnykiem, tylko prawdziwym rozbójnikiem, który z rozmysłem stara się potrząsnąć kilkoma tradycjami historiograficznym na raz. Dla Polaków rzecz jest tym ciekawsza, że w dziedziach majątków z guberni czernihowskiej nie sposób nie dostrzec zapomnianych kuzynów panów braci, których znamy z portretów porozwieszanych na ścianach naszych własnych muzeów i bawialni. Co dalej zrobić z tą paralelą, to już temat do refleksji dla nas wszystkich. Jedno jest pewne — ten kryminał warto czytać nie tylko dla rozrywki.

Tomasz Hen-Konarski  
(Florence)

Barbara Stępniewska-Holzer, *Żydzi na Białorusi. Studium z dziejów strefy osiedlenia w pierwszej połowie XIX w.*, Warszawa 2013, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, ss. 230

Historia Żydów wschodnioeuropejskich we początkach XIX w. nie jest zbyt głęboko zbadana. Są oczywiście takie klasyczne dzieła, jak Johna Klier ( *Russia Gathers Her Jews. The Origins of the „Jewish Question” in Russia, 1772–1825*, DeKalb, Ill. 1986), Michała Stanisławskiego ( *Tsar Nicolas I and the Jews. The Transformation of the Jewish Society in Russia 1825–1855*, Philadelphia 1983) i Raphaela Mahlera ( *Hasidism and the Jewish Enlightenment. Their Confrontation in Galicia and Poland in the First Half of the Nineteenth Century*, Philadelphia 1985). Całkiem ostatnio znaczący wkład do naszej wiedzy wniosły prace Marcina Wodzińskiego, a i badania Jewgienija Aniszczuki (E. Anißenko, *Čerta osedlosti. Belarusskaâ sinagoga v carstvovanie Ekateriny II*, Minsk 1998) są także godne podziwu. Ciągłe jednak trudno było znaleźć dobry przegląd historii Żydów w tym okresie — aż do teraz. *Żydzi na Białorusi* Barbary Stępniewskiej-Holzer wypełniają więc tę lukę w historiografii. Wprawdzie specjaliści niewiele znajdą tu nowego, niemniej dzieło to przynosi znakomity zarys historii społecznej, kulturalnej, ekonomicznej i religijnej białoruskich Żydów w końcu XVIII i początku XIX w. Niestety, nawet jako krótki zarys dla niespecjalistów książka ta nie może być polecana bez zastrzeżeń z powodu niedostatków podejścia badawczego, dokumentacji, wykorzystania źródeł i częstego ignorowania ważnych osiągnięć najnowszej historiografii.

Książka Stępniewskiej-Holzer jest napisana w układzie problemowym. Po krótkim wprowadzeniu, które omawia literaturę przedmiotu i główne wyzwania, z jakimi borykali się białoruscy Żydzi w tym okresie, rozdziale o demografii i statystyce oraz krótkim przeglądzie wydarzeń politycznych następuje 14 niedługich rozdziałów poświęconych różnorodnym zagadnieniom. Historia społeczna

jest reprezentowana przez rozdziały na temat rzemiosła i przemysłu, prób osiedlenia Żydów jako rolników na wsi, handlu, i bardzo ważnej sprawy propinacji, czyli prawa Żydów do produkcji i sprzedaży napojów alkoholowych. Stan ich administracji wewnętrznej opisywany jest w rozdziałach o kahale (żydowskiej organizacji gminnej), zarówno ze społecznego, jak i finansowego punktu widzenia (tj. z uwzględnieniem kryzysu finansowego kahałów we wczesnym XIX w.). Potem następują dwa rozdziały o chasydyzmie, sięgające chronologicznie do początków ruchu w wieku XVIII. Ostatnie trzy rozdziały traktują o polityce Rosji wobec Żydów, sposobach radzenia sobie z nią żydowskich instytucji, na końcu znajdujemy kilka stron o codziennym położeniu Żydów, z uwzględnieniem informacji o zdrowiu, źródłach dochodu, skutkach służby wojskowej i konwersjach (dość rzadkich).

Stępniewska-Holzer pokazuje, że populacja żydowska w prowincjach białoruskich Imperium Rosyjskiego wzrosła znacząco liczebnie w tym okresie. Niestety, Autorka nie jest w stanie dać nam więcej na drodze nowych badań i ustaleń; ten rozdział opiera się wyłącznie na opracowaniach, niektórych zresztą bardzo starych. Trochę irytujące jest to, że jej poszczególne przykłady zdają się być niemalże wybrane losowo i nie zawsze z guberni białoruskich. Przytacza ona dość interesujące konkrety o wroście emigracji żydowskiej „z Litwy i Białorusi do Palestyny” (s. 30). O dziwo jednak, ta informacja nie jest opatrzona przypisem, tak że czytelnik nie dowiaduje się, skąd pochodzi, i nie może jej sprawdzić.

Odnosnie do nowej politycznej sytuacji Żydów, w jakiej znaleźli się oni po rozbiorach, książka przynosi niewiele nowego. Znowu rozdział ten bazuje na opracowaniach, niektórych tak starych, jak dzieła Szymona Dubnowa, Julija Giessena *Jewriei w Rossii* (S.-Peterburg 1906) i Josepha Meisla *Geschichte der Juden in Polen und Rußland* (Berlin 1925). Frapujące jest, że wytyczające nowe drogi badawcze studium Kliera nie zostało tu w ogóle przywołane; mamy tylko jedno odniesienie do jego rozprawy doktorskiej z 1975 r. Wiemy zaś, że książka Kliera z 1986 r. opiera się na jego dysertacji i ją poszerza, tym bardziej więc dziwne, że nie znajdujemy w tym fragmencie odwołania do jej oryginału ani rosyjskiego przekładu. Podobnie w rozdziale o propinacji Autorka nie sięga po ważną — nawet jeśli niedoskonałą — pracę Jürgena Hensela (*Polnische Adelsnation und jüdische Vermittler 1815–1830*, Wiesbaden 1983). Rzeczywiście, Hensel skupia się przede wszystkim na Królestwie Polskim, lecz jego ustalenia są szerzej aktualne i mogłyby w każdym razie być interesujące jako porównawcze studium przypadku.

Jeśli idzie o zagadnienie prób, mających na celu osiedlenie Żydów jako robotników rolnych, to widzimy ten sam wzór. Więcej niż połowa przypisów w tym krótkim rozdziale pochodzi z dwóch źródeł: serii artykułów w petersburskim czasopiśmie „Woschod” (1881) i niemieckiego studium opublikowanego w 1886 r., bazującego również na „Woschodzie”. Brak tu odniesień do źródeł archiwalnych, a Autorka nie próbuje porównać liczb i faktów zaczerpniętych z „Woschodu” z jakimikolwiek opracowaniami i źródłami. Spoglądając na rzemieślników i przemysł, Stępniewska-Holzer stąpa już po pewniejszym gruncie, choćby dlatego, że opublikowała artykuł na ten temat parę lat temu. Jednak wciąż szkoda, że nie rozwinęła

swych badań (znajdujemy tu dwa archiwalne odwołania) i znów cytuje opracowania znane co najmniej od dekady.

Rozdziały o *hassidim* wykazują podobne słabości. Znów nadal Dubnow i Meisl (dzieła swoją drogą niezłe, lecz w żadnym razie niedające się zaliczyć do najnowszej literatury przedmiotu), wykorzystywanie wątpliwych opracowań (niektóre, jak się zdaje, opublikowane ostatnio przez ruch Chabad Lubawicz, lecz nieobecne w Bibliotece Kongresu USA) i ignorowanie niektórych opracowań oczywistych. Na przykład, można byłoby się spodziewać jakiegoś odwołania do zbioru pod redakcją Michała Galasa (*Światło i słońce. Studia z dziejów chasydyzmu*, Kraków 2006) i wzmianki o książce Moshe Rosmana (*Founder of Hasidism. A Quest for the Historical Ba'al Shem Tov*, Berkeley 1996). Opierając się na opracowaniach dotyczących Chabad, Stępniewska-Holzer, w mojej opinii, przeszacowuje wpływy tego ruchu.

Recenzowana książka może być, jako się rzekło, użyteczna dla niespecjalistów. Ma jednakże pewne znaczące słabości. Z jednej strony są to jej zasadnicze założenia, granice geograficzne i chronologiczne. Autorka nie wyjaśnia przejrzysto, jaki cel miała na uwadze, pisząc tę pracę. To nie jest sam w sobie wielki problem; książka mogłaby służyć przedstawieniu krótkiego zarysu problemu. Poważniejszą słabością jest, jak mi się wydaje, pomijanie znaczących pozycji literatury przedmiotu, jakie ukazały się w ostatnich latach. Jak na zarys, jest to szczególnie rażąca sprawa, ponieważ studenci będą czytać tę książkę i odniosą fałszywe wrażenie, że od czasów Dubnowa i Ignacego Schipera nie powstały już poważniejsze dzieła.

Nie jest jasne, dlaczego Autorka na potrzeby swego studium obrała tak szczególne granice chronologiczne i w szczególności geograficzne. Prawdą jest, że pierwsza połowa XIX w. to czas nie dość dobrze jeszcze zbadany, więc skupienie na niej uwagi jest usprawiedliwione. W rzeczywistości jednak Autorka czerpie przykłady zarówno sprzed rozbiorów, jak i z okresu po 1863 r. Znów to nie byłby problem, lecz czasami powstaje wrażenie, że Autorka po prostu podaje informacje i specyficzne przykłady bez systematycznego przemyślenia całego okresu. Zastosowanie podziału tematycznego w pracy również osłabia zdolność czytelnika do śledzenia różnych zmian zachodzących w tym czasie — a były one liczne i głębokie. Najbardziej jednak problematyczne wydają się granice geograficzne. Białoruś nie była osobną całością administracyjną Imperium Rosyjskiego, również w perspektywie historii Żydów terytorium to nie może być jasno wydzielone, zwłaszcza z Litwy (oczywiście nie w etnicznym, lecz geograficznym sensie tego słowa). Z punktu widzenia zarówno granic administracyjnych Imperium, jak i „wewnętrznej logiki” historii żydowskiej, nieco szerszy nacisk na Litwę (*Lite*) wydawałby się bardziej uzasadniony. Poza wszystkim, Żydzi z Mińska i Witebska nie odróżniali się tak bardzo od Żydów z guberni wileńskiej czy kowieńskiej.

Recenzja niniejsza skupiła się być może zbyt mocno na słabościach książki. Lecz praca Barbary Stępniewskiej-Holzer ona jedną mocną stroną: przynosi czytelny i generalnie trafny portret żydowskiej społeczności tej części strefy osiedlenia. Na przykład można ją z pewnością zarekomendować studentom,

ktorzy chcieliby uzyskać podstawową wiedzę na temat historii Żydów we wczesnym wieku XIX. Szkoda jednakże, iż brak wykorzystania ostatnich ustaleń literatury przedmiotu i uwzględnienia oryginalnych źródeł czyni to studium niesatysfakcjonujące dla specjalistów, nawet tych znajdujących się na początkowym etapie kariery.

Theodore R. Weeks  
(Carbondale, Ill.)

(Z jęz. angielskiego przełożył Bartosz Kaliski)

Balázs Trencsényi, *The Politics of „National Character”: A Study in Interwar East European Thought*, Milton Park, Abingdon 2012, Routledge, ss. 227, Routledge Studies in Comparative Political Thought, 2

Monografia ukazująca się w nowej serii wydawnictwa Routledge jest dziełem wyjątkowym z kilku powodów. Na uwagę zasługują już choćby okoliczności jej powstania. Balázs Trencsényi, jeden z najwybitniejszych żyjących badaczy dziejów Europy Środkowo-Wschodniej i Bałkanów, profesor na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie, a także współredaktor „East Central Europe” oraz budapeszteńskiego czasopisma kulturalnego „2000”, napisał po angielsku książkę mniej więcej dwa razy grubszą od recenzowanego tomu. W takim rozmiarze publikacja przekraczała jednak granice tolerancji wydawnictwa. W efekcie Trencsényi wydał odchudzoną wersję oryginalną oraz niemal osiemsetstronicowe tłumaczenie na węgierski<sup>1</sup>. Kolejną osobliwością *The Politics of „National Character”* wydaje się dobór tematu. Trencsényi analizuje międzywojenne refleksje nad charakterem narodowym w trzech krajach: na Węgrzech, w Rumunii i w Bułgarii. Nie jest to zestawienie oczywiste, tym bardziej że językowe i fachowe kompetencje Autora pozwoliłyby mu równie dobrze włączyć do tematu np. Czechosłowację (sporo uwag we wstępie odnosi się zresztą właśnie do charakterologów czeskich i jugosłowiańskich). Wreszcie nie sposób przejść obojętnie nad stylem tej książki. Z całą pewnością nie jest to lektura łatwa. Autor stara się wprawdzie nie popisywać swoją erudycją, ale mimo to tekst jest bardzo „gęsty”, a podążanie za tokiem opowieści wymaga skupienia i wysiłku (co w pewnej mierze może być efektem radykalnych cięć, o których była mowa).

Książka Trencsényiego składa się ze wstępu, trzech studiów poświęconych kolejno rumuńskiej, węgierskiej i bułgarskiej refleksji charakterologicznej oraz z krótkiego zakończenia. Każdy z trzech rozdziałów tematycznych poprzedzony został wstępem, przybliżającym tradycję tego nurtu historii idei od oświecenia aż po początek XX w. Odnosząc się do polskiego klasyka badań nad analogicznym zagadnieniem, można powiedzieć, że właśnie te poświęcone przeważnie ideom dziewiętnastowiecznym wstępy w najwyższym stopniu

<sup>1</sup> B. Trencsényi, *A nép lelke. Nemzetkarakterológiai viták Kelet-Európában*, Budapest 2011.

przypominają historię charakterologii narodowej, do jakiej polskiego czytelnika przyzwyczaiał Andrzej Wierzbicki<sup>2</sup>. Różnią się one zarazem od zasadniczej treści trzech rozdziałów, w wielu miejscach przybierających postać wycieczki nazwisk i tytułów. Bibliografia zalicza się do tych części książki, które doświadczyły najradykałniejszych skrótów. Dość wspomnieć, że nie zawiera ona publikacji Autora, które stały się punktem wyjścia omawianej monografii<sup>3</sup>.

Jedną z największych zalet omawianej książki jest bez wątpienia intelektualna szczerść Autora. Wbrew egzotycznemu, jak mogłoby się wydawać, zestawowi analizowanych przypadków idei odrębności narodowej psychiki Trencsényi już we wstępie zaznacza, że rumuńskich, bułgarskich i węgierskich charakterologów nie cechuje bynajmniej wyjątkowa oryginalność idei. Choć zajmowała ich odrębność narodowej psychiki, pełnymi garściami czerpali z zachodnioeuropejskich wzorów, zwłaszcza ideologii konserwatywnej rewolucji czy też nowego nacjonalizmu. To, co w opinii Autora czyni temat fascynującym, to wyjątkowo wysoka ranga, jaką w życiu intelektualnym tych trzech narodów zajęła refleksja w innych kontekstach dość szybko odsunięta w cień.

Pod drodze do powyższej konkluzji Autor analizuje dziesiątki mniej lub bardziej egzotycznych projektów narodowych ontologii. Myśliciele marginalni nawet we własnym kraju sąsiadują tu z uznanymi wielkościami. Wśród tych ostatnich względnie najwięcej miejsca poświęcił Trencsényi trzem radykalnym ideologom rumuńskim: Constantinowi Noice, Emiłowi Cioranowi i Mircei Eliademu, którzy w sposób najbardziej zdecydowany zrezygnowali z historycznych i indywidualistycznych atrybutów charakterologii na rzecz ahistoryczności i kolektywizmu (s. 60–69). Co charakterystyczne, ważne miejsce zajmuje w książce István Bibó, który również — podobnie jak Noica, Cioran i Eliade, choć z zupełnie innych pozycji ideologicznych — zakwestionował i zdekonstruował podstawowe założenia charakterologii. W rozdziale poświęconym Węgrom dłuższy fragment dotyczy także wybitnego historyka Gyuli Szeffű, sprzeciwiającego się zarówno wizji chłopskiego narodu Dezső Szabó, jak i, z drugiej strony, „neobarokowej” ideologii państwowej reżimu Miklosa Horthyego (s. 89–93). W ostatnim rozdziale dłuższy passus poświęcono dwóm

---

<sup>2</sup> A. Wierzbicki, *Spory o polską duszę. Z zagadnień charakterologii narodowej w historiografii polskiej XIX i XX w.*, Warszawa 1993, wyd. drugie 2011, a także idem, *Groźni i wielcy. Polska myśl historyczna XIX i XX wieku wobec rosyjskiej despotii*, Warszawa 2001.

<sup>3</sup> Mam na myśli artykuły poświęcone poszczególnym krajom: B. Trencsényi, *History and Character. Visions of National Peculiarity in the Romanian Political Discourse of the 19th Century*, w: *We, the People. Politics of National Peculiarity in Southeastern Europe*, red. D. Mishkova, Budapest 2009, s. 139–178; idem, *Political Romanticism and National Characterology in Modern Romanian Intellectual History*, w: *Re-searching the Nation: The Romanian File*, red. S. Mitu, Cluj 2008, s. 124–152; idem, *The Conceptualization of National Character in the Romanian Intellectual Tradition*, w: *Key Concepts of Romanian History*, red. A. Heinen, V. Neumann, Budapest 2013, s. 333–376; idem, *Relocating Ithaca. Alternative Antiquities in Modern Bulgarian Political Discourse*, w: *Multiple Antiquities — Multiple Modernities. Ancient Histories in Nineteenth Century European Cultures*, red. G. Klaniczay, M. Werner, Frankfurt am Main 2011, s. 247–278 i inne.

mesjanistycznym filozofom bułgarskim — Najdenowi Szejtanowowi (Najden Šejtanov) i Jankowi Janewowi (Ānko Ānev) (s. 152–164).

Wybijających się myślicieli otacza cała plejada twórców mniejszego formatu, których wymienianie nie posłużyłoby lepszemu zapoznaniu z treścią książki. Zamiast tego chciałbym zwrócić uwagę na pewne tendencje i prawidłowości, które praca węgierskiego historyka pozwala wychwycić. Trzy badane przezeń dyskursy charakterologiczne nie są zapewne wyjątkiem ze względu na dominujące w nich zabarwienie polityczne. Ideologie wychodzące od narodowego romantyzmu z reguły sytuowały się raczej na prawicy, niekiedy skrajnej. Co prawda zarówno w Rumunii, w Bułgarii, jak i na Węgrzech tematyką tą zajmowali się również liberałowie i lewicowcy, lecz to nie oni odgrywali główne role w refleksji o narodowej duszy. Zjawisko to o tyle nie dziwi, że sama idea charakteru narodowego sprzyja esencjalizacji narodu. Myśliciele sytuujący się na lewicy i w centrum politycznego spektrum — Pál Ignotus, László Németh i Bibó na Węgrzech, Henric Sanielevici i Ștefan Zeletin w Rumunii, Dymitar Michalczew (Dimit'r Michalčev) i Iwan Hadżijski (Ivan Hađiski) w Bułgarii — wkraczając na ten, teren starali się owej esencjalizacji uniknąć. Stąd powtarzające się w każdym z tych krajów próby opisanie charakteru narodowego językiem nowoczesnej socjologii, prowadzące do regionalizacji i rozbitcia rzekomej etnicznej jedności duchowej (np. poprzez powiązanie cech duchowych z sytuacją społeczną, a nie z pochodzeniem). W niektórych przypadkach, jak już o tym wspomniano, autorzy ci kwestionowali cały sens podobnych rozważań. Charakterystycznym przykładem jest Bibó, piszący w jednym ze swych ważniejszych (i przywoływanych także przez Trencsényiego) tekstów nie o niemieckim charakterze narodowym, lecz o „politycznej histerii”, która dotknęła tę zbiorowość<sup>4</sup>.

Słabością lewicowych prób reinterpretacji gatunku była niemożność odpowiedzi na zapotrzebowanie odbiorców dzieł charakterologii narodowej. Upraszczając problem, można powiedzieć, że podczas gdy czytelnicy oczekiwali prostej odpowiedzi na pytanie „jacy jesteście”, lewicowi i liberalni myśliciele udzielali im mało jednoznacznych wskazówek w rodzaju „jesteście różni” bądź „to skomplikowane”. Przewycięzenie tego impasu było możliwe albo za cenę włączenia się w główny nurt charakterologii narodowej (i rewizji własnych lewicowych bądź liberalnych poglądów), albo też przyjęcia esencjalistycznej wizji narodu, powiązanej z własnym światopoglądem politycznym. Wśród autorów opisywanych przez Trencsényiego najlepszym przykładem tej ostatniej opcji jest Hadżijski, uważający demokrację za bułgarską cechę narodową. Wykraczając poza tematykę omawianej książki, można by do tej samej grupy zaliczyć np. Zdeňka Nejedlego, inspiratora komunistycznej interpretacji historii Czech, w której narodowi *a priori* przypisano postępowość.

Drugą osią refleksji charakterologicznej wydaje się stosunek do modernizacji. Choć powiązany z poglądami politycznymi, nie był z nimi tożsamy. Węgry

---

<sup>4</sup> I. Bibó, *Przyczyny i dzieje niemieckiej histerii politycznej*, w: idem, *Eseje polityczne*, Kraków 2012, s. 99–208, tu s. 198.

i w mniejszym stopniu Rumunia miały swoich „zapadników”, ale wśród charakterologów właściwie zawsze dominowali „autochtoniści”. Na korzyść tych ostatnich przemawiała ta sama okoliczność, która zapewniała przewagę liczby i popularności zwolennikom politycznej prawicy. „Modernizatorzy” parający się jednocześnie charakterologią – typowy wydaje się opisany przez Trencsényiego bułgarski psycholog Atanaz Iliew (Atanas Iliev) (s. 140–143) – usiłowali znaleźć złoty środek pomiędzy uniwersalizmem a partykularyzmem, podkreślając, że to, co narodowe, jest organiczną częścią kultury powszechnej. W takiej optyce pełny rozkwit duchowy wspólnoty jest dopiero projektem na przyszłość, co z miejsca osłabia jej pozycję wobec teorii autochtonistycznych, głoszących, że doskonałość jest już w nas. Nic dziwnego, iż znacznie bardziej wpływowi od Iliewa okazali się twórcy głoszący, jak N. Szejtanow, że Bułgarzy są najważniejszym narodem świata i zaczynem europejskiej cywilizacji (s. 156–158). Szczególnie w Bułgarii i Rumunii częstą reakcją na ideę modernizacji i westernizacji stał się protochronizm – mniej lub bardziej absurdalne przekonanie, że w istocie te właśnie kraje wyprzedziły rozwój Zachodu przynajmniej pod względem duchowym i nie potrzebują szukać inspiracji u obcych.

Kolejnym motywem obecnym w każdym z omawianych przez Trencsényiego przypadków jest stosunek do kategorii państwa i narodu, a w dalszej konsekwencji także historii. W tym wypadku punkt wyjścia autorów bułgarskich i rumuńskich był inny niż węgierskich. Ci ostatni wchodzili w wiek XX ze stosunkowo dobrym samopoczuciem, a przekonanie o historycznej proweniencji narodowej psyche było wśród nich silniejsze i utrzymywało się dłużej niż w pozostałych przypadkach. Państwo jako podstawa poczucia wspólnoty także stosunkowo dłużej cieszyło się uznaniem węgierskich charakterologów, podczas gdy w Rumunii takie stanowisko dominowało właściwie tylko bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej (najsilniej chyba u wybitnego starożytnika Vasile Pârvana)<sup>5</sup>. Na drugim biegunie znaleźli się ci badacze, którzy poszukiwali narodowego geniuszu nie w narosłych z czasem zbiorowych doświadczeniach, lecz w tym, co (pozornie) archaiczne, trwałe i niezmiennie, czyli w kulturze ludowej, bądź w takich ahistorycznych kategoriach, jak mitologia, religia czy rasa. Na pierwszy plan wśród zwolenników tej optyki wybija się oczywiście Eliade, ale zasługą Autora jest także przybliżenie dość mało znanej, a przy tym silnej analogicznej tradycji bułgarskiej. Zupełnie wyjątkową rolę odgrywała przeszłość u jednego z najciekawszych opisywanych w niniejszej książce myślicieli, wybitnego historyka Petara Mutaftczijewa (Pet’r Mutaftčiev). W jego pracach poświęconych tworzeniu bułgarskiej tożsamości dylematy ideowe współczesności ubrane zostały w kostium historyczny. Bizancjum odgrywało rolę Zachodu, a powierzchnowa – jak sądził Mutaftczijew – chrystianizacja była odpowiednikiem o wieki późniejszej równie niedokończonyj modernizacji. Także w tym przypadku punktem dojścia bułgarskiego autora stało się zakwestionowanie historycznego (a więc w pewnym stopniu linearnego)

---

<sup>5</sup> Zob. A. Zub, *Geschichtskultur und Modernisierung Rumäniens im 20. Jahrhundert*, „Revue Roumaine d’Histoire” 43, 2004, 1–4, s. 159–170.

charakteru rozwoju narodowej psychiki. Zamiast tego miała ona powtarzać ten sam cykl, z którego należałoby się dopiero wyłamać, aby osiągnąć postęp.

Wszystkie trzy osie ideologicznych sporów wokół charakterów narodowych na Węgrzech, w Rumunii i w Bułgarii ilustrują problem, który opisał Jerzy Jedlicki: „Idee wędrują znacznie szybciej niż materialne podstawy cywilizacji. Wtórna, plagiatowa krytyka ekonomii i industrializmu w społeczeństwie przedindustrialnym, krytyka Mechanizmu w kraju na poły jeszcze feudalnym stawała się stereotypem obronnym, czarnym stereotypem Zachodu”<sup>6</sup>. Także w przypadku międzywojennej charakterologii narodowej na Węgrzech, w Bułgarii i w Rumunii wzory i inspiracje przychodziły z zewnątrz. W epoce oświecenia była to teoria klimatyczna, następnie romantyczna krytyka „zwyrodniałego” Zachodu, a z czasem naukowe i par naukowe dyskursy rasowe i psychologiczne. Dla poważnej grupy omawianych przez Trencsényiego autorów, również faszystów. Ogólną (i zapewne wykraczającą poza te trzy kraje) prawidłowością okazała się eksponowana rola Niemiec i Niemców — zarówno jako wzoru do naśladowania i dostarczycieli filozoficznego *know-how*, jak i punktu odniesienia teorii regionalnej wyjątkowości. Ale, jak przekonuje *The Politics of „National Character”*, naprawdę ciekawe jest to, co powstawało z połączenia owych obcych inspiracji z rodzimą tematyką i wzorami. W zakończeniu pracy Autor zwraca uwagę na uderzający kontrast pomiędzy tą wtórnością a intelektualną klasą niektórych przynajmniej twórców regionalnych charakterologii narodowych.

Książka węgierskiego historyka imponuje bogactwem treści i swobodą, z jaką Autor porusza się zarówno w obranym przezeń temacie, jak i na jego bliższym i dalszym pograniczu. Zarys rozwoju europejskiej refleksji nad charakterem narodowym jest wprawdzie krótki, lecz trafny. Być może warto byłoby nieco więcej miejsca poświęcić niemieckim wzorom, o których wpływie tak często w omawianej pracy wspomina, lecz nie jest to zasadniczy mankament. Niekiedy, zwłaszcza w rozdziale poświęconym Bułgarii, Trencsényi zajmuje się także późniejszymi losami takich teorii, aż po przełom 1989 r. Stroni natomiast, i to można uznać za pewną słabość jego pracy, od odważniejszych wycieczek poza grupę autorów, których można zaliczyć do dość szeroko rozumianej grupy twórców myśli politycznej. Literaturoznawcy, artyści czy też przedstawiciele nauk o człowieku igrający z ideą niepowtarzalności narodowej psyche są w omawianej książce dość słabo obecni. Choć odwołania do psychologii i antropologii rasowej były w międzywojennej charakterologii powszechne, przedstawiciele tych dziedzin także na kartach publikacji Balázsa Trencsényiego nie spotkamy. Wszystko to trudno postrzegać w kategorii zaniedbania, bo kanon myślicieli opisanych w książce jest reprezentatywny, a wydłużenie listy przywoływanych autorów z pewnością nie dodałoby jej przejrzystości. Na koniec wypada wspomnieć o pewnym mankamencie, który utrudnia lekturę. Była już mowa o „gęstym”

---

<sup>6</sup> J. Jedlicki, *Stereotyp Zachodu w Polsce porozbiorowej*, w: *Mity i stereotypy w dziejach Polski*, red. J. Tazbir, Warszawa 1991, s. 99–124, tu s. 106. Zob. także poświęcone Polsce fragmenty w: idem, *Świat zwyrodniały. Lęki i wyroki krytyków nowoczesności*, Warszawa 2000.



stylu narracji. Niekiedy gęstość ta osiąga rozmiary chyba przesadne i znacznie osłabia przyjemność lektury. Warto jednak zadać sobie trud przeanalizowania nawet tych trudniejszych fragmentów, bo całość to wysokiej próby historia idei. Doprawdy trudno o autora, którego kompetencje w dziedzinie myśli politycznej Europy Środkowo-Wschodniej i Południowo-Wschodniej byłyby aż tak rozległe.

Maciej Górny  
(Warszawa)

Henryk Zamojski, *Tragiczne decyzje. Jak wywołano Powstanie Warszawskie? Dlaczego szefowie oddziałów KG AK protestowali przeciwko decyzjom gen. Bora Komorowskiego?*, Warszawa 2013, Wydawnictwo Bellona, ss. 270

Wydawnictwo Bellona jest dziedzicem znanego w PRL Wydawnictwa MON. Nie jest to najlepsza rekomendacja. W 2012 r. Bellona wydała Henrykowi Zamojskiemu książkę pt. *Polacy i Żydzi – dzieje sąsiedztwa, dzieje waśni – historia stosunków polsko-żydowskich*. Książka ta nie przyniosła Autorowi uznania. Zwłaszcza dla XX w. uciekała od spraw trudnych. Coraz częściej w ostatnich latach otrzymujemy dalekie od realiów okupacji niemieckiej ujęcia tematów polsko-żydowskich: w przypadku autorów krajowych zbyt często przeważa kolor biały, u innych czarny. Sprawy te wymagają równowagi i unikania tendencyjnych czy pośpiesznych uogólnień. Od dawna, za Tomaszem Szarotą, uważam, iż w pisaniu o dniu codziennym okupacji niemieckiej winien przeważać kolor szary, zgodny z sytuacjami, w których terror okupanta wymuszał nieraz postawy dalekie od heroizmu czy zwykłej uczciwości; natomiast postawy zdecydowanie zbrodnicze, czy to, co nazywam „kolaboracją oddolną”, były marginesem życia okupacyjnego<sup>1</sup>.

Wspomniałem poprzednią książkę H. Zamojskiego, by wskazać, iż w sporej mierze mamy do czynienia, niestety, z pisarstwem szczególnym, właściwym raczej epoce koło roku 1968. Moja analiza warsztatu naukowego i treści omawianej książki skłania do sądu, iż tekst tej formalnie monografii historycznej powstał w swoim zasadniczym zrębie przed rokiem 1980. Publikując obecnie książkę, Autor dokonał pewnych retuszy stylistycznych oraz dopisał zakończenie. W jego skąpej bibliografii jest zaledwie kilka tytułów z okresu bogatego w badania po roku 1989, ale wpływ tych tekstów na książkę jest niemal niezauważalny. Dla spraw międzynarodowych, według mnie najważniejszych dla oceny podjęcia tak ryzykownej decyzji o bitwie o Warszawę, dla Autora nadal autorytetem, rzecz zdumiewająca, pozostaje oficjalny autor PRL dla spraw dyplomacji II wojny światowej – Włodzimierz T. Kowalski, okreśłany nb. imieniem Władysława<sup>2</sup>. Ostatnie

<sup>1</sup> Por. S. Salmonowicz, *The Tragic Night of Occupation: On „Collaboration from Below” in the General Government (1939-1945)* [on-line], *The American Association for Polish-Jewish Studies. New Views*, <[www.aapjstudies.org](http://www.aapjstudies.org)>.

<sup>2</sup> Przypomnieć warto, iż W. T. Kowalski był m.in. realizatorem manipulowanych w duchu propagandy PRL telewizyjnych wywiadów z Jadwigą Sosnkowską.

lat trzydzieści to przełom w spojrzeniu na politykę anglosaską w czasie II wojny światowej, jak i na taktykę Stalina. Autor tej bibliografii nie wykorzystał podobnie jak i dawniejszych prac publikowanych w językach innych niż polski<sup>3</sup>. Autorytetami generalnie pozostają dlań tylko historycy, którzy publikowali pod rządami cenzury PRL: Jerzy Kirchmayer, Aleksander Skarżyński, Antoni Przygoński, Włodzimierz Wołoszyn, oraz znany mu tylko z pierwszego wydania książki Jan M. Ciechanowski, autor londyński, ale dopuszczony także przez cenzurę w Polsce<sup>4</sup>. Autor, oceniający przesłanki polityczne i głównie militarne decyzji o Powstaniu, pominął także moje liczne rozważania. Mógł nie znać ewentualnie mego tekstu wydanego w drugim obiegu w 1981 r.<sup>5</sup> Drugie wydanie tej książki już z moim nazwiskiem jest łatwo dostępne<sup>6</sup>. Dodajmy, iż główne moje tezy zaprezentowałem raz jeszcze w najważniejszej po wojnie sesji o Powstaniu na Zamku Królewskim w Warszawie w 1994 r. Tej publikacji Autor nie zna, a w każdym razie jej nie cytuje. Aelius Donatus (IV w. naszej ery) napisał kiedyś: „Pereant qui ante nos nostra dixerunt?!”.

Omawiana praca poza zwięzłym rozdziałem o sytuacji militarno-politycznej w Europie 1944 r. (s. 7–24) składa się z quasi-analitycznej części zasadniczej, zatytułowanej „Wydarzenia związane z podjęciem decyzji powstania zbrojnego w Warszawie” (s. 25–228), oraz z dość obszernego „Zakończenia” (s. 229–250), w którym Autor częściowo odszedł od tej części analitycznej. Praca zawiera też aneks źródłowy, bibliografię oraz indeks osobowy.

Pozostawiając raczej na uboczu wątki londyńskie czy międzynarodowe, Autor część główną ujął w formie ustalenia, dzień po dniu, co się działo w Warszawie od 19 listopada 1943 r. po 2 sierpnia 1944 r. Autor, wyolbrzymiając niekiedy zastrzeżenia niektórych członków Komendy Głównej Armii Krajowej (czasem formułowane po kłęsce), udowadnia, iż decyzje kierownictwa AK były od a do z błędne. Nie jest to stanowisko rewelacyjnie nowe, podobnie jak silny nacisk na fakt, iż Armia Czerwona miała takie trudności u progu sierpnia 1944 r., iż na jej działania ofensywne nie można było liczyć. Autora ujęcie „dzień po dniu” byłoby może pożądane, gdyby nie fakt, który już przed laty podkreślałem, iż wypowiedzi uczestników różnych narad i dyskusji lipcowych w KG AK nie dają się w pełni uporządkować krytycznie,

<sup>3</sup> Por. niepełne zestawienie bibliograficzne: J. Garliński, *Powstanie Warszawskie z perspektywy półwiecza. Studia i materiały z sesji naukowej na Zamku Królewskim w Warszawie, 14–15 czerwca 1994*, Warszawa 1995, s. 477–482. Dziś niektóre istotne publikacje tam wspomniane mamy już w języku polskim, jak monografie Richarda C. Lukasa z 1987 r., zbiór relacji Jeana-François Steinera z 1975 r. Inne nadal są dostępne tylko w językach obcych jak Henri Michela, *Et Varsovie fut détruite*, Paris 1984.

<sup>4</sup> J.M. Ciechanowski w niektórych kwestiach zmieniał czasem swoje poglądy, por. idem, *Na tropach tragedii. Powstanie Warszawskie 1944. Wybór dokumentów wraz z komentarzem*, Warszawa 1992.

<sup>5</sup> Wydawnictwo „Krağ” wydało pod moim ówczesnym pseudonimem: A. Nowosielski, *Powstanie Warszawskie. Próba uporządkowania problemów genezy i oceny ogólnej*, Warszawa 1981. Moje poglądy aprobował i inicjował to wydanie płk Józef Rybicki.

<sup>6</sup> Por. S. Salmonowicz (Antoni Nowosielski), *Powstanie Warszawskie. Próba uporządkowania problemów genezy i oceny ogólnej*, Toruń 1990, ss. 153.

ani co do dat spotkań, ani ich składu osobowego, ani co do treści poszczególnych wypowiedzi<sup>7</sup>. Jeszcze w 1981 r. pisałem, analizując ten problem i znając w zasadzie wszystkie relacje, na które dziś się powołuje Zamojski, następująco: „W powojennych relacjach żyjących uczestników tych narad (składanych zresztą w różnym czasie i z różnych pobudek) nastąpiły wielokrotnie «nałożenia się» wystąpień poszczególnych osób z różnych dni i sytuacji, a nawet świadomie bądź nieświadomie przypisywano sobie lub innym, lub w innej dacie, wypowiedzi w istocie wygłoszone przez kogoś innego”<sup>8</sup>. Wiemy dziś w sposób niewątpliwy, iż gorliwymi zwolennikami decyzji o możliwie szybkim jej podjęciu i wszczęciu bitwy o Warszawę byli Stanisław Mikołajczyk i ludzie PSL w kraju, oraz związany z Mikołajczykiem ówczasie generał Stanisław Tatar w Londynie, a w kraju obok Leopolda Okulickiego, Tadeusza Pełczyńskiego, Antoniego Chruściela także Józef Szostak i Jan Rzepecki. Krytykami realiów decyzji, czy jej terminu, byli nade wszystko Janusz Bokszczańin, Ludwik Muzyczka, Emil Fieldorf i Albin Skroczyński. Autor wykazuje, iż decyzja z militarne go punktu widzenia była błędna i ryzykowna. Dziś wszyscy o tym od dawna wiemy, podobnie jak i o tym, że decyzja strategiczna, polityczna, o celach politycznych Powstania także nie mogła wywrzeć wpływu na bieg polskich interesów określonych polityką anglosaską. Ja jednak od dawna wskazuję, iż decyzje londyńskie i warszawskie były — *rebus sic stantibus* — wywołane generalnie właśnie ową dwuznaczną polityką anglosaską wobec legalnych władz II RP w Londynie. Wiedzy o tym, generalnie, też nie posiadali sztabowcy KG AK. Stąd przed laty konkludowałem moje rozważania: „Powstanie Warszawskie było militarne niedostatecznie przygotowane i wadliwie pokierowane, politycznie było ryzykiem najwyższej miary, jednakże psychologicznie trudno było rzeczywiście go uniknąć”<sup>9</sup>. Nie sposób gloryfikować decyzji, które doprowadziły do strasznej klęski. Być może inne decyzje, na które jakby zabrakło miejsca wobec tempa ofensywy sowieckiej

---

<sup>7</sup> Autor spośród decydentów polskiego Londynu wierzy gen. Stanisławowi Tatarowi, podobnie jak i J. M. Ciechanowski czy Maria Janion (eadem, *Plac generała. Eseje o wojnie*, Warszawa 1998, s. 256–258). Tu trzeba rozróżnić fakt istotny — S. Mikołajczyk i gen. Tatar byli zwolennikami porozumienia ze Stalinem, jednakże Mikołajczyk dla swojej pozycji w rokowaniach moskiewskich w pełni poparł koncepcję bitwy o Warszawę, a gen. Tatar był wykonawcą jego poleceń, nieraz za plecami Naczelnego Wodza... Relacje S. Tataru dla spraw lat 1943–1949 nie są wiarygodne, por. S. Salmonowicz, *Meandry „sprawy” generała Stanisława Tataru*, „Czaszy Nowożytnie” 2000, 9, s. 187–202. Także niektórzy uczestnicy narad warszawskich w swych relacjach powojennych (jak chociażby płk Jan Rzepecki) nie w pełni zasługują na zaufanie.

<sup>8</sup> S. Salmonowicz (Antoni Nowosielski), op. cit. s. 89. Co do analiz Autora dodajemy dwie uwagi. Po pierwsze, relacje, które powołuje, są od dawna znane, por. C. Madajczyk w dyskusji pt. *Stan i potrzeby badań nad powstaniem warszawskim, dyskusja redakcyjna*, DN 26, 1994, 3, s. 1–13. Po drugie *gros* ważnych relacji opublikował już J. M. Ciechanowski, op. cit. Por. także J. K. Zawodny, *Uczestnicy i świadkowie Powstania Warszawskiego*. Wywiady, Warszawa 1994. Relacja Ludwika Muzyczki, której oryginał jest w moim posiadaniu, była wygłoszona w toku dyskusji w IH PAN nad książką J. M. Ciechanowskiego i jest od dawna znana.

<sup>9</sup> S. Salmonowicz (Antoni Nowosielski), op. cit., s. 117.

w czerwcu–lipcu 1944 r., przyniosłyby mniejszą tragedię, jednak pewności sukcesu żadna ówczesna decyzja nie dawała.

W „Zakończeniu” Autor po raz pierwszy zacytował informacje Jana Karskiego o zaskoczeniu S. Mikołajczyka decyzjami teherańskimi upublicznonymi po raz pierwszy przez Wiaczesława Mołotowa w październiku 1944 r. Także w tych uwagach końcowych H. Zamojski skłonny jest już przyjąć, iż Stalin nie chciał żadnej pomocy Powstaniu udzielić. Wiemy przecież dobrze od dawna, iż pomoc lotnicza, pomoc w zrzutach broni (realnych, a nie pozornych, jak we wrześniu 1944 r.) były możliwe. Oczywiście Stalin był naszym wrogiem i trudno było liczyć na jego pomoc, skoro Powstanie znalazło się w kłopotach. Skonkludowałbym tę kwestię, wbrew Konstantemu Rokossowskiemu, iż Armia Czerwona żadnej istotnej pomocy Powstaniu nie udzieliła, bo było to sprzeczne z interesem sowieckim, choć leżało w jej technicznych możliwościach.

Historiografia Powstania nie ma ostatnio dobrej passy. Wystarczy przypomnieć dziennikarza Piotra Zychowicza, który głosi nieco spóźniony „program” koniecznej współpracy władz II RP z Hitlerem. P. Zychowicz (podobnie jak jeszcze w październiku 1944 r. w Krakowie Józef Mackiewicz) widzi cały czas w dobie okupacji niemieckiej możliwość współpracy Armii Krajowej z Niemcami, o czym nawet mają świadczyć propozycje gestapo w Krakowie z wiosny 1944 r.<sup>10</sup> Książka Henryka Zamojskiego jest głównie pokłosiem historiografii PRL. Propagując ją Wydawnictwo Bellona charakteryzuje dodatkowo fakt, że ani Wydawnictwo, ani w przedmowie sam Autor nie ujawnili, czy jakiś historyk fachowiec książkę recenzował i pozytywnie zlecił do druku.

Stanisław Salmonowicz  
(Toruń)

---

<sup>10</sup> Por. P. Zychowicz, *Oblęd '44. Czyli jak Polacy zrobili prezent Stalinowi wywołując Powstanie warszawskie*, Warszawa 2013. Jako historyk odmawiam poważnego traktowania tego typu „alternatywnych” rozważań, podobnie nadal budzi moją wątpliwość pogląd wielokrotnie powtarzany przez J. M. Ciechanowskiego, że należało zawrzeć kompromis ze Stalinem. Kompromis oznacza w jakiejś mierze uwzględnienie interesów obu stron, dla Stalina liczyła się tylko polska kapitulacja z niepodległości. Kompromis usiłował zawrzeć, jak wiadomo, prezydent Edvard Beneš i wiadomo także, jak się ten kompromis zakończył.